Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 6.VI.1971 Nr 12 (471) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Konkurs na reportaż o Lubelszczyźnie

Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodu w Lublinie, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Zarząd Oddziału w Lublinie, Wydawnictwo Lubelskie oraz redakcja „Kameny" ogłaszają I Ogólnopolski Konkurs otwarty na reportaż poświęcony ludziom i sprawom Lubelszczyzny.

Organizatorom konkursu zależy szczególnie na pracach obrazujących powojenny dorobek regionu lubelskiego, jego dzień dzisiejszy, istotne rysy przeobrażeń społecznych i kulturowych, regionalne odrębności w tych przeobrażeniach, rolę Lubelszczyzny w obrazie kraju i perspektywy jej dalszego rozwoju.

Kierunków reporterskich poszukiwań organizatorzy ściśle nie precyzują, pragną jednak, aby wszystkie podejmowane tematy ukazywane były poprzez losy jednostek i zbiorowości, pracę ludzką, zarówno indywidualną jak i zbiorową, funkcjonowanie aparatu władzy i samorządnych organów społecznych. Organizatorzy liczą na obiektywne spojrzenie autorów zarówno w ukazywaniu osiągnięć jak i opóźnień rozwojowych Lubelszczyzny.

WARUNKI KONKURSU

Prace objętości do 20 stron znormalizowanego maszynopisu, nigdzie dotąd nie publikowane, opatrzone godłem wraz z kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora, należy nadesłać w 3 egzemplarzach do dnia 31 grudnia 1971 roku pod adresem: Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 55 pokój nr 4.

NAGRODY

Za najlepsze reportaże organizatorzy konkursu przewidują następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagroda — 15 000 zł
dwie II po 10 000 „
trzy III po 5 000 „
oraz dziesięć wyróżnień po 2 000 zł.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w marcu 1972 roku. Skład jury podany zastanie w terminie późniejszym. Najlepsze reportaże opublikowane zostaną w wydaniu książkowym przez Wydawnictwo Lubelskie oraz publikowane będą przez redakcję „Kameny i honorowane według obowiązujących stawek autorskich.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku nadesłanych prac.

Śmierć w akademiku

Romuald Wiśniewski

FINAŁ tragedii odbył się tu. Zwykły pokój w domu akademickim. Duże okno, cztery łóżka, stół, szafa w ścianie, wnęka z umywalką. Nad jednym łóżkiem wizerunek Matki Boskiej, nad drugim sporych rozmiarów portret marszałka Stalina, nad trzecim Brigitte Bardot w półnegliżu, nad czwartym plakat ze studenckiego rajdu turystycznego. Początki i przebieg dramatu nie są znane. Pytań jest wiele, odpowiedzi nie ma.

Jak to się stało? Dlaczego?

Tajemnica śmierci Antka nie daje spokoju. Czy musiał umrzeć? Co myślał w ostatniej chwili świadomości, gdy pętla zaciskała mu się na szyi? Jak to się stało? Dlaczego właśnie tu, w akademiku?

Nic nie wiadomo. Tylu ludzi znało Antka, zdawałoby się dobrze, a właściwie nie znał nikt. Nawet najbliżsi. Ot, chłopak jak chłopak, zdawało się. Taki sobie, średni. Dopiero teraz odkrywają, że jednak nie był zupełnie typowy. Przeciętny student, gdy opuszcza zajęcia obowiązkowe, coś wymyśla na usprawiedliwienie. On — nie... Chłopcy z pokoju gnają na ćwiczenia, a Antek leży na łóżku i czyta. Popędzany przez nich powiada, że nie pójdzie bo lektura jest ciekawsza od dzisiejszych ćwiczeń. Co powiedzieć asystentowi? — pytają koledzy. Jak to co? To, co jest: że czytam.

Antek uznawał tylko prawdę, dobrą czy złą. Tyle, że małomówny, zamknięty w sobie. Jaka ta jego prawda była, nie wiadomo. Rzadko mówił o sobie, a jeśli już mówił, nigdy o sprawach najważniejszych: poglądach, odczuciach.

— Kto jak kto, ale ja powinnam go znać — zamyśla się Halina. — Pięć lat wspólnych studiów. Byliśmy w jednej grupie seminaryjnej. Nieraz całymi godzinami siedzieliśmy w zakładzie tylko we dwoje, przy opracowywaniu naszych badań magisterskich. Żeby odpocząć, odprężyć się na moment, usiłowałam porozmawiać. Kończyło się zawsze na

Dokończenie na str. 6—7

Konflikty planowania regionalnego

Jerzy Dostatni

KTOŚ czegoś nie dopatrzył i w rezultacie niedawny zjazd w Lublinie delegatów Towarzystwa Urbanistów Polskich przebiegał nie tak, jak zapowiadano w programach. Przypadek, złośliwość okoliczności czy jakieś fatum, które od wielu już lat prześladuje naszych urbanistów? Odpowiedź, pośrednią ale symptomatyczną, dały mi krótkie rozmówki w kuluarach. Kilku działaczom TUP, czołowym w naszym województwie urbanistom, autorom czy współautorom różnych planów zagospodarowania przestrzennego, zadawałem kolejno dwa jednobrzmiące pytania:

1) czy zdarzyło się, aby któryś z wojewódzkich planów regionalnych był podstawą do wytyczania polityki gospodarowania, czy też odwrotnie: zastosowana już polityka gospodarcza (do niedawna mimo pozorów bardzo scentralizowana) kreśliła główne elementy planu, który dopiero na tej podstawie trzeba było opracowywać?

2) czy zdarzyło się, aby któryś z tych planów, zatwierdzanych nieraz na bardzo wysokim szczeblu, był wykonywany chociaż w połowie, biorąc pod uwagę zarówno treść merytoryczną jak i terminy?

Wszyscy moi rozmówcy nad podziw zgodnie dwa razy odpowiadali zdecydowanie: nie! Potem potwierdziły to, dyskretnie ale jednoznacznie, cztery referaty, wygłoszone właśnie przez przedstawicieli środowiska lubelskiego. Ten sam ton można było usłyszeć także w dyskusji, gdy występowali delegaci z Warszawy, Rzeszowa czy Puław. Może najbardziej charakterystyczne, a szkoda że tak krótkie, było wystąpienie przedstawiciela Rzeszowa, który do trudności czy wprost niepowodzeń urbanistycznej profesji dodał jeszcze jedną, chociaż ani on sam, ani inni dyskutanci nawet nie próbowali na nią znaleźć lekarstwa:

— Mój szef — mówił przedstawiciel Rzeszowa — jest równocześnie prezesem oddziału Towarzystwa Ochrony Przyrody. Broni tej przyrody gdzie i jak może, ale wciąż

Dokończenie na str. 6—7

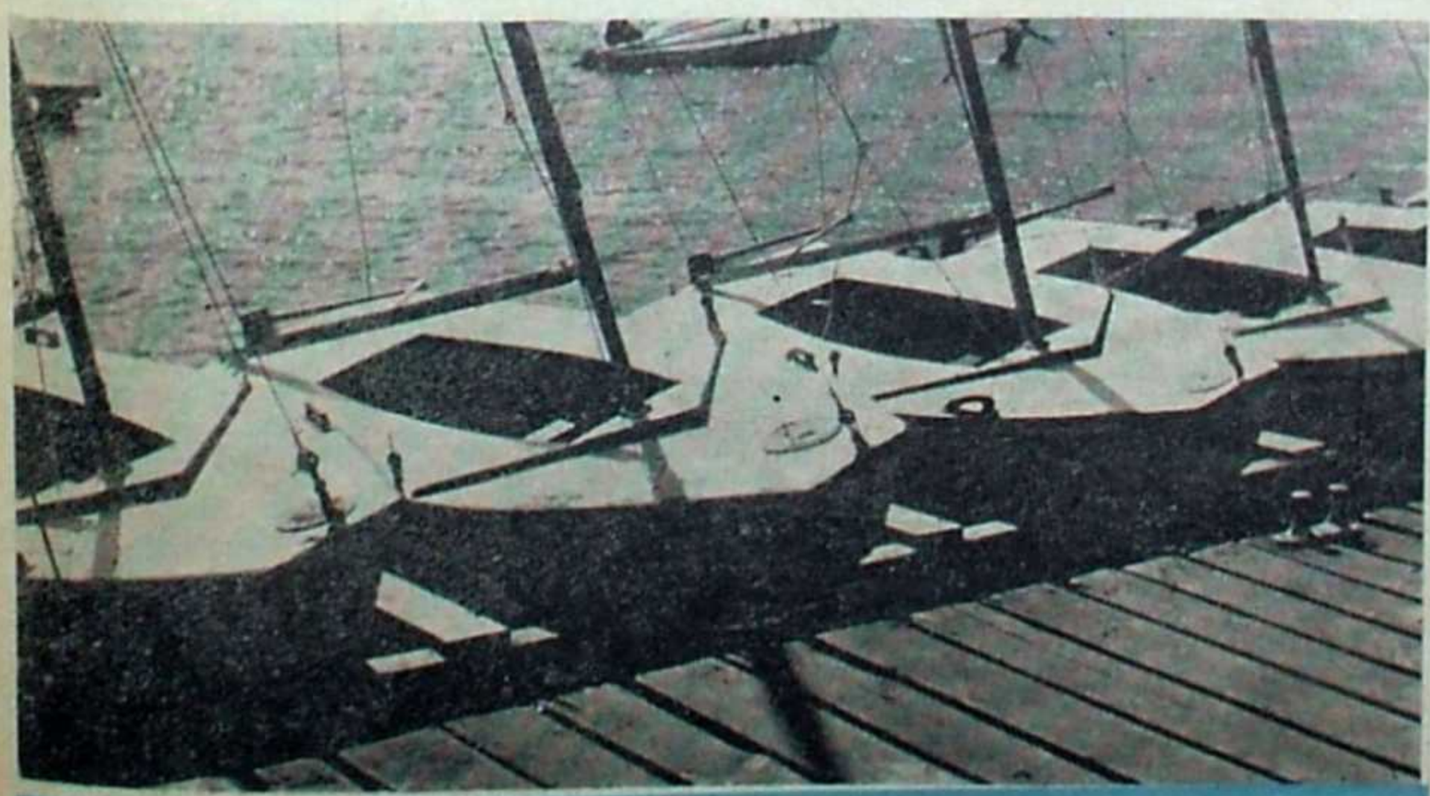

Niedługo wakacje. Jak jest przygotowana do nich Lubelszczyzna pod względem turystycznym? Poinformujemy o tym naszych Czytelników już w najbliższym numerze. Fot. Cz. Łuniewicz

Jan Koprowski

Pożegnanie ojca

Wtulony w kąt przedziału
czeka na odjazd pociągu.
Pociąg pojedzie daleko
a ojciec jest tak blisko.
Siedzimy na wprost siebie,
słowa się sączą pomału
i nic w nich nie ma ważnego
i ważne w nich jest wszystko.

Ojciec wyjmuje kapciuch
i robi grubego skręta.
Dym wąską strugą wędruje
przez okno uchylone.
Tę chwilę pożegnania
trzeba nam, synu pamiętać.
Mój rok osiemdziesiąty
o drugą potrąca stronę.

Konduktor podaje sygnał
gwar na peronie cichnie.
Obejmujemy się z ojcem,
lecz w oczy jego nie patrzę.
Nikt wzbierającej żałości
z serca mojego nie wygna.
Ojcze, odjeżdżasz na miesiąc,
na rok, czy na zawsze?

teatrnn.pl

Kultura 1971

Zmarli

● Znana w okresie przedwojennym polska śpiewaczka operowa Maria Mokrzycka, solistka oper w Warszawie, Madrycie i Wiedniu. Ostatnio była profesorem Wyższej Szkoły Teatralnej im. Al. Zelwerowicza w Warszawie.

● W katastrofie kolejowej w Australii zginął 36-letni Mitchell Kowa', aktor amerykański polskiego pochodzenia (prawdziwe nazwisko — Mieczysław Kowalski). W Polsce wystąpił w filmach „Jadą goście jadą", „Dzięcioł" i „Nie lubię poniedziałku".

● 82-letni prozaik i poeta estoński Friedbert Tuglas jeden z najwybitniejszych pisarzy tego kraju.

● 83-letni malarz włoski Alberto Magnelli, abstrakcjonista, nieco zaćmiony sławą swoich przyjaciół — Marinettiego, Picassa, Legera.

Literatura

● Wkrótce zostanie podjęta edycja „Biblioteka Dzieł Klasyki Polskiej i Obcej", obejmująca około 300 tytułów, w tym 30 ukaże się w roku bież. Nakłady 50—100 tys. egzemplarzy, ewentualne wznowienia ukażą się w tańszej wersji broszurowej.

● Z okazji 80 rocznicy urodzin wybitnego poety i krytyka Tadeusza Peipera tegoroczny Toruński Maj Poetycki był w całości poświęcony autorowi „Żywych linii".

● Do drukarni przesłano nową powieść literatki dolnośląskiej Liliany Seymur pt. „Monongahela szumi Wisłą". Jest to 3-tomowa powieść o trudnych powrotach do ojczyzny emigrantów polskich z USA. Rozpoczęła także pisać książkę na pograniczu, jak sama twierdzi, satyry i science-fiction — o odczytywaniu myśli i spostrzeżeń niemowląt o naszym świecie. Amatorsko zajmuje się także malowaniem.

● Nakładem wydawnictwa węgierskiego „Europa Konyvkiado" opublikowano „Utwory zebrane" Tadeusza Borowskiego.

● W NRF ukazały się dwie książki autorów polskich: „Wielka księga myśli nieuczesanych" St. J. Leca i „Mordercy" W. Wirpszy.

● W Leningradzie ukazała się liczaca 718 stron antologia pt. „Poeci Azerbejdżanu".

Teatr

● Tegoroczny finał Festiwalu Dramaturgii Krajów Socjalistycznych odbędzie się w Katowicach w dniach 9—15 listopada. Zgłosiło się już 37 teatrów, które pokażą około 50 spektakli.

● Teatr Powszechny w Łodzi obchodził 25-lecie istnienia, wystawiając „Księdza Marka" Słowackiego w reżyserii M. Bordowicza. Pierwszym kierownikiem placówki był Leon Schiller.

● Teatr „Cricot 2" z Krakowa w ramach światowego festiwalu w Nancy wystawił „Kurkę wodną" St. I. Witkiewicza.

● W Kopenhadze wystawiono „Kartotekę" Różewicza. Pierwsze recenzje były bardzo pochlebne.

● Omawiając zakończony właśnie w ZSRR festiwal sztuk węgierskich, teatrolog Bolesław Rostocki pisze na łamach „Sowietskiej Kultury": „Pojęcia tradycji i nowatorstwa są nierozdzielne w praktyce naszego teatru. One to stwarzają perspektywy rozwoju i sukcesów socjalistycznej sztuki scenicznej".

● Theatre National Populaire w Paryżu wystawił sztukę pisarza irlandzkiego Conora Cruise O'Briena „Aniołowie mordercy". Akcja osnuta jest wokół śmierci Lumumby oraz b. sekretarza ONZ Hammerskjoelda. Autor łączy te dwa fakty w logiczną całość.

● Na jednym z konkursów w Anglii nagrodzono sztukę 38-letniego E. A. Whiteheada „We czworo". Autor był poprzednio rozwozicielem mleka, listonoszem, akwizytorem ogłoszeniowym, pośrednikiem i nauczycielem. Sztukę pisał 7 lat.

Sztuka

● W Warszawie powołano komitet organizacyjny stowarzyszenia „Fundusz rozwoju twórczości plastycznej".

● Muzeum Mazowieckie w Płocku, jedna z najstarszych tego rodzaju placówek w kraju, obchodzi 150-lecie powstania. Z tej okazji otrzyma wkrótce nową siedzibę w odrestaurowanym zabytkowym zamku płockim oraz w XVIII-wiecznym spichrzu na skarpie wiślanej.

● Na peryferiach Łodzi znaleziono 31 wspaniałych sztuk biżuterii z brązu sprzed 2,5 tysiąca lat, którymi zachwycają się zarówno archeolodzy jak i elegantki.

● W zabytkowym kościele w Broku nad Bugiem pod tynkiem odkryto fragmenty starych fresków z okresu późnogotyckiego.

● Polski archeolog dr Lech Krzyżaniak z Poznania bierze udział w organizowaniu Muzeum Sudańskiego w Kairze.

● W Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Buenos Aires otwarto wystawę polskiego plakatu teatralnego i operowego, a w Rosario ekspozycję polskich plakatów filmowych, teatralnych i turystycznych.

● Po kilkuletnich staraniach waszyngtońska National Gallery otrzymała zezwolenie władz francuskich na zakupienie obrazu Paula Cezanne'a — portretu jego ojca czytającego biblię. Podobno za obraz galeria zapłaciła ponad półtora miliona dolarów.

● Duński okręt wojenny dostarczył do Reykjaviku dwa tysiące staroislandzkich zabytków w postaci rękopisów, które w XVIII w. znalazły się w Kopenhadze. Przeciwny zwrotowi rękopisów dyrektor Królewskiej Biblioteki w Kopenhadze kazał opuścić do połowy masztu flagę na znak żałoby.

● W Królewskiej Akademii Sztuki w Londynie otwarto doroczną, 203 z kolei, wystawę obrazów, rzeźb i grafiki. Wszystkie wystawione dzieła można kupić w cenie od 5 do 5 tys. funtów. Spośród 1070 eksponatów tylko 7 przedstawia akty. Jeden z eksponatów to trzy starannie uformowane pryzmy żwiru.

Muzyka

● Opera Bałtycka w Gdańsku-Wrzeszczu wystawiła „Borysa Godunowa" Modesta Musorgskiego.

● W Moskwie wydano płytę z nagraniami piosenek z musicalu Agnieszki Osieckiej i Bułata Okudżawy „Apetyt na czereśnie".

● Filharmonia Leningradzka obchodzi jubileusz 50-lecia. Powstała w maju 1921 roku na mocy rozporządzenia pierwszego komisarza ludowego oświaty Anatola Łunaczarskiego.

● W 50 rocznicę śmierci Enrico Carusa we Włoszech wydano płytotekę znakomitego tenora. Obejmuje ona prawie 500 arii operowych, 15 pieśni religijnych oraz piosenki neapolitańskie. Warto przypomnieć, że równo przed 70 laty Caruso na początku swojej trudnej kariery wystąpił w Warszawie.

● Maria Callas podpisała umowę na dwa cykle sześciotygodniowych wykładów w szkole muzycznej Juilliarda w Nowym Jorku.

Film

● Czesław Petelski rozpoczął w Malborku nakręcanie filmu o Koperniku. Będzie on dwukrotnie dłuższy od normalnego, ale wyświetlany jednorazowo.

● Ze 142 nadesłanych filmów zakwalifikowano 59 do pokazania na XI Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych, który właśnie zakończył się w Krakowie. Na odbywający się następnie VIII Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych zgłoszono 251 filmów.

● Od 27 czerwca do 4 lipca odbędzie się w Łagowie trzeci z kolei festiwal filmowy oraz seminaria dla działaczy kin studyjnych i klubów filmowych.

● Szerokoekranowa adaptacja sztuki Szekspira „Król Lear" reżyserii Grzegorza Kozincewa została zakupiona przez Polskę.

● Pierwszą nagrodę na festiwalu filmów czeskich i słowackich w Pilznie otrzymał obraz Karela Kachyni „I znów skaczę przez kałuże" według książki australijskiego pisarza Alana Marshalla. Film ten w tym samym czasie nie został dopuszczony do festiwalu w Cannes, rzekomo ze względu na niski poziom artystyczny, w rzeczywistości dlatego, że autor książki poróżnił się z zachodnimi potentatami filmu i księgarstwa.

● Aż w 15 postaciach w jednym filmie Dino Risiego „One" wystąpi Monica Vitti.

Różne

● Pierwsze Święto Oświaty obchodziliśmy w maju 1946 roku dla uczczenia Święta Pracy i rocznicy Konstytucji z roku 1871. W latach 1949—1950 trwał Tydzień Oświaty, Książki i Prasy, od 1951 roku utrzymuje się obecna nazwa — Dni Oświaty, Książki i Prasy.

● W Muzeum Mazurskim w Olsztynie odnaleziono inkunabuł, należący kiedyś do Kopernika i zawierający na marginesach jego uwagi. Są to dwa traktaty łacińskie — „Brewiarz praktyki medycznej" i „Kanony o stanach gorączkowych" (pisane oczywiście po łacinie). Są to zarazem jedne z najstarszych druków medycznych w księgozbiorach polskich.

● Nigdy nie uważałem i nie uważam — powiedział Lucjan Kydryński w wywiadzie dla „Życia Warszawy" — że jestem konferansjerem zawodowym. Jestem dziennikarzem, praca konferansjerska to tylko dodatek.

● W Kijowie odbyła się wystawa książki polskiej, obejmująca 700 pozycji, wydanych przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą.

● Już w siedmiu miastach Nowej Zelandii eksponowana była wystawa „Polska dzisiejsza".

Christiane Gueho w filmie „Cine giri".

Kryzys w Egipcie

WIELKI obszar, który nazywamy Bliskim Wschodem, leży na styku trzech kontynentów. Tu więc, ze względów strategicznych, przebiegają granice zainteresowań polityczno-wojskowych wielkich mocarstw. Odczuwał to już prezydent Naser, gdy musiał manewrować nie tylko na płaszczyźnie międzynarodowej, ale także wewnętrznej, pomiędzy bardzo różnymi ugrupowaniami. Trzeba tu dodać, że wbrew powszechnemu mniemaniu Arabski Związek Socjalistyczny nie jest jednolitą partią polityczną, chociaż czymś więcej niż blokiem partii, które wprawdzie uznały pewne pryncypia, ale nie znaczy to, że miały uzgodnione poglądy na wszystkie sprawy.

Stąd też, od chwili pierwszej napaści izraelskiej w czerwcu 1967 roku, w organach kierowniczych ZRA ujawniały się różne tendencje. Niezwykle silna osobowość jak również poparcie olbrzymiej większości narodu spowodowały, że Naser mógł w sposób dość autorytatywny prowadzić politykę państwową, a jednocześnie godzić lub rozstrzygać spory wewnętrzne.

Gdy po nieoczekiwanej śmierci Nasera stanęła sprawa jego następstwa, sytuacja nie była prosta. Wiceprezydent Anwar el-Sadat wcale nie był automatycznym następcą. Był wprawdzie osobistym przyjacielem zmarłego, należał do tego kręgu młodych wówczas oficerów, z którego wyszedł sam Naser, ale przez wiele lat pozostawał w jego cieniu.

Wybrany został na prezydenta jako człowiek kompromisu. Nie tylko poza granicami kraju, ale i w samym Kairze mówiono, że będzie on sprawował funkcje prezydenta przejściowo, do czasu, aż wśród różnych grup ukształtuje się wyraźna większość, która przede wszystkim uzyska poparcie armii, najlepiej zorganizowanej i największej siły w kraju. W Kairze mówiono nawet, że Naser odszedł w najbardziej odpowiedniej chwili: przed burzą, a może nawet przed potopem, który zagraża krajowi. Ta aluzja odnosiła się nie do aktualnego czy przyszłościowego stanu konfliktu zbrojnego z Izraelem, ale do stosunków wewnętrznych, rozwijających się na tle tego konfliktu.

W tej napiętej sytuacji każda większa różnica zdań musiała doprowadzić do spięcia. Więcej — do próby sił. I tak się stało, gdy w imię nie doraźnych celów, ale perspektywy historycznej prezydent Sadat akceptował tzw. plan Rogersa. Trudno powiedzieć, czy sam wierzył w to, że Izrael także pójdzie drogą pokoju. Chciał jednak wyzyskać szansę, nie rezygnując zarazem z dwóch podstawowych punktów, wysuniętych jeszcze przez Nasera — wycofania się Izraela ze wszystkich okupowanych terytoriów arabskich jak również słusznego rozwiązania problemu Palestyńczyków. Już wtedy wystąpili przeciw niemu wiceprezydent Ali Sabri oraz wicepremier i minister spraw wewnętrznych Szaarawi Mohammed Gomaa. Obu uważano jeżeli nie za jastrzębi, to za „twardych".

Spór zaostrzył się jeszcze, gdy prezydent Sadat wysunął sprawę otwarcia Kanału Sueskiego, nie wykluczając możliwości podpisania układu pokojowego z Izraelem — co faktycznie oznaczałoby oficjalne uznanie tego państwa. Gdy więc na przełomie lutego i marca w Najwyższym Komitecie Wykonawczym Arabskiego Związku Socjalistycznego rozważano, czy zgodzić się na przedłużenie rozejmu czy nie — cztery osoby, wśród nich Ali Sabri, sprzeciwiły się propozycji prezydenta o przedłużeniu rozejmu. Mimo to przedłużenie faktycznie weszło w życie, bo taka była decyzja Sadata jako naczelnego zwierzchnika sił zbrojnych, zresztą miał on oficjalne poparcie trzech innych członków NKW AZS.

17 kwietnia Sadat podpisał w Benghazi proklamację o federacji Egiptu, Libii i Syrii z perspektywą przystąpienia Sudanu. Federacja została zaprojektowana bardzo ostrożnie, etapami — dawne doświadczenia z Syrią pokazały przecież, że sprawa nie jest taka prosta. Mimo to Ali Sabri wystąpił gwałtownie przeciwko federacji. Doprowadził nawet do tego, że Komitet Wykonawczy AZS nie zatwierdził statutu tej federacji, chociaż zrobiły to rząd, parlament i Komitet Centralny AZS. Ali Sabri twierdził potem, że do ratyfikacji doszło dlatego, ponieważ prezydent zagroził, że będzie rządził przy użyciu wojska. Czy tak było rzeczywiście — nie wiadomo.

Było jasne, że w najbliższym czasie musi dojść do konfrontacji sił. Ali Sabri, popierany przez Gomaa (może zresztą odwrotnie, informacje na ten temat wciąż są zbyt skąpe), wysunął projekt przyznania wszystkim mieszkańcom Egiptu ubezpieczeń chorobowych i emerytur. Hasło było atrakcyjne i zmierzało do uzyskania poparcia w masach, chociaż nie wiadomo, czy obciążony wydatkami wojennymi budżet państwa mógłby znieść właśnie teraz takie obciążenie. W odpowiedzi prezydent zwiększył prawa samorządów, zwolnił więźniów politycznych, objechał większe garnizony celem zyskania poparcia wojskowych, zrobił także ukłon w stronę silnej wciąż burżuazji, zdejmując sekwestr państwowy z niektórych majątków rolnych.

W przemówieniu, wygłoszonym 1 maja, Sadat powiedział m. in.: *Żadna jednostka lub grupa nie może narzucać swojej opinii masom ludowym.* Było to, jak się okazało, wyraźne ostrzeżenie. Ale przeciwnicy prezydenta zrozumieli to widocznie jako objaw jego słabości. Gomaa, a także ówczesny minister wojny gen. Fauzi, zaczęli montować spisek wojskowy. Okazało się jednak, że większość wyższych oficerów odmówiła udziału w spisku, a przede wszystkim szef sztabu sił zbrojnych gen. Sadek. Ten ostatni nawet miał być jednym z tych, którzy poinformowali Sadata o przygotowywanym spisku. Nic więc dziwnego, że następnego dnia ukazał się komunikat o zwolnieniu Ali Sabri z funkcji wiceprezydenta.

Z daleka wyglądało, że kryzys został zażegnany i że zdecydowane postępowanie prezydenta, poparte wielkimi manifestacjami ludności, doprowadzi do pełnego unormowania sytuacji. To były jednak pozory. Wrogowie Sadata przygotowywali się do kontruderzenia. Co się w tym czasie działo za kulisami lub wśród spiskowców — jeszcze nie wiadomo. Prezydent wyznał później, że otrzymał dwie taśmy magnetofonowe od pewnego porucznika, na których to taśmach nagrane były rozmowy spiskowców. Ale szczegółów jeszcze nie znamy.

O dalszym rozwoju sytuacji zdecydowało najprawdopodobniej poparcie armii, udzielone prezydentowi. Tak więc 13 maja podają się do dymisji ministrowie Gomaa, Fauzi i Fajek, sekretarz generalny NKW AZS, przewodniczący parlamentu i inni. Ministrem wojny zostaje gen. Sadek. Sadek osobiście przejmuje kierownictwo nad organami policji i bezpieczeństwa, a następnie zapowiada reorganizację Arabskiego Związku Socjalistycznego oraz przeprowadzenie wyborów w jego komórkach na wszystkich szczeblach.

Tak więc z tej wielomiesięcznej próby sił zwycięzcą wyszedł prezydent Sadat. Niektórzy komentatorzy uważają, że dzięki temu przestał on być tylko następcą Nasera, a stał się nowym, silnym człowiekiem Egiptu. Jest to chyba sąd nieco przedwczesny. Można bowiem przypuszczać, że jego przeciwnicy nie skapitulują, mimo że niektórzy z nich zostali aresztowani i staną przed sądem, że inni zostali tylko usunięci ze stanowisk.

Wydaje się, że zwycięstwo Sadata jest wypadkową pewnych układów czy choćby milczących porozumień, za które trzeba będzie poczynić takie czy inne koncesje, przede wszystkim w polityce wewnętrznej. Wypracowanie więc jasnej, jednej koncepcji postępowania mimo wykazanej przez niego zręczności nie będzie łatwe. A jej realizacja — jeszcze trudniejsza. Ostateczny wynik tych walk wewnętrznych będzie miał duży wpływ nie tylko na dalszy rozwój sytuacji w samym Egipcie, ale także na całym Bliskim Wschodzie, przez co należy rozumieć nie tylko konflikt z Izraelem, bo również stosunki pomiędzy wszystkimi państwami arabskimi.

Jedno wydaje się pewne — że prezydent Sadat będzie mógł prowadzić bardziej elastyczną niż dotąd działalność celem znalezienia politycznego rozwiązania konfliktu z Izraelem. To wcale nie musi oznaczać dalszych ustępstw, co już zresztą potwierdził proklamując zasady ewakuacji przez Izrael wszystkich okupowanych terytoriów arabskich oraz sprawiedliwego rozwiązania problemu Palestyńczyków. Nie wydaje się więc, by Izrael mógł skorzystać na tym, co się stało nad Nilem. Może natomiast wiele stracić na tym, co się stać może nad Kanałem Sueskim.

Nic natomiast nie wskazuje na to, aby popsuły się stosunki Egiptu ze Związkiem Radzieckim. Wprawdzie na linii Kair — Waszyngton następuje pewna normalizacja, wygląda jednak na to, iż jest to posunięcie taktyczne: Egipt uważa, iż jedynym państwem, które może skłonić Izrael do ustępstw, drogą dyplomatyczną lub naciskiem ekonomicznym, są Stany Zjednoczone. A jeżeli to nie nastąpi? Odpowiedź wydaje się prosta.

Równocześnie zarówno prezydent jak i naród egipski zdają sobie sprawę, że jedynym prawdziwym przyjacielem jest Związek Radziecki, pomagający Egiptowi zarówno ekonomicznie jak i dostawami wojskowymi. Charakterystyczna jest tu wypowiedź Hajkala, naczelnego redaktora dziennika „Al-Ahram": *Chcemy utrzymać dialog ze Stanami Zjednoczonymi, ale nie możemy nie być przyjaciółmi naszych przyjaciół i wrogami naszych wrogów.* Prezydent zaś powiedział, że nowa konstytucja będzie zmierzała w kierunku socjalizmu.

(jd)

Gratulujemy

Zaszczytne wyróżnienie spotkało lubelskie środowisko literackie. Maria Józefacka za tom wierszy „Całopalenie" otrzymała w dziedzinie poezji doroczną Nagrodę Literacką im. Stanisława Piętaka. Fundatorami nagrody są: Zarząd Główny ZMW, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza oraz „Tygodnik Kulturalny".

Laureatce serdecznie gratulujemy.

Za Bugiem

W TARTU (Estońska SRR) ukazał się zbiorek studenckich prac naukowych poświęconych zagadnieniom filologii rosyjskiej: „Russkaja filologija. 3 Sbornik naucznych studienczeskich rabot". Prace te zostały podzielone na dwie grupy — literaturoznawczą i językoznawczą.

W części literaturoznawczej zamieszczono artykuły studentów z Tartu o najróżnorodniejszej tematyce, np. o byliniach rosyjskich, o przedstawianiu piekła i nieba w tekstach staroruskich. Znajdujemy tu również opracowania dotyczące utworów poetyckich M. Niekrasowa, I. Bunina, W. Briusowa. Na podkreślenie zasługuje publikacja nie znanego dotychczas dokumentu o weselu S. Wołkońskiego i M. Rajewskiej oraz zwrócenie uwagi na mało znane wiersze dla dzieci I. Erenburga.

W części językoznawczej wydrukowano 5 artykułów studentów radzieckich. Dotyczą one głównie składni i stylu. Obok nich zaś znalazły się prace naszych studentów z filologii rosyjskiej UMCS w Lublinie, referowane i wyróżnione nagrodami na ogólnopolskim sympozjum rusycystycznym w roku 1969. Ewa Szymańska, wówczas jeszcze studentka IV roku, pisze o języku cyklu poetyckiego Juliana Tuwima „Słopiewnie". Zajęła się ona mało znaną sprawą w twórczości poety, a mianowicie jego eksperymentami słowotwórczymi, w których wykorzystywał nie tylko elementy polskie, ale też częściowo rdzenie i wyrazy rosyjskie.

Halina Rycyk i Michał Sajewicz są autorami o strukturach frazeologicznych ze słowami „iść" i „chodzić" w języku polskim i rosyjskim. Analizują oni połączenia wyrazowe z tymi czasownikami, wykazując różnice między obu spokrewnionymi językami. Referat napisany jest dobrze, mimo iż podczas pisania tej pracy byli oni jeszcze studentami II roku.

Krystyna Ejdowska (również studentka UMCS) przedstawia mechanizm tworzenia się wyrazów zdrobniałych w językach słowiańskich, ze szczególnym uwzględnieniem rosyjskiego i polskiego. Bodźcem do napisania tej pracy stał się artykuł R. Awaniesowa na podobny temat, który został tu częściowo rozwinięty na nieco szerszym materiale.

Cały zbiorek jest świadectwem żywego zainteresowania się młodych adeptów nauki problemami współczesnego językoznawstwa i literatury, do których potrafili dorzucić niejedną twórczą myśl.

Wydrukowanie artykułów studentów rusycystyki lubelskiej w estońskim zbiorku rusycystycznym jest wynikiem ścisłej współpracy między rusycystami z Tartu i Lublina. Doc. dr Paweł Sigałow z Tartu przebywał w ciągu dwóch lat w Lublinie, wykładając na UMCS dyscypliny językoznawcze i prowadząc seminarium magisterskie z zakresu językoznawstwa rosyjskiego. Z jego inicjatywy nasi studenci mogli się dołączyć w zbiorku do swoich kolegów radzieckich. Przez jeden rok pracował również na UMCS historyk literatury rosyjskiej z Tartu doc. dr Walery Biezubow.

Obaj okazali się entuzjastami kultury polskiej. Przebywając obecnie w Estonii, propagują tam bardzo aktywnie te zdobycze nauki i kultury polskiej, z którymi zetknęli się podczas pobytu w Lublinie. Doc. dr P. Sigałow drukował artykuły po polsku w czasopismach polskich (Biuletyn PTJ, Slavia Orientalis).

Nie może być chyba trwalszej i lepszej przyjaźni niż ta, która opiera się na konkretnym działaniu z dobrymi wynikami. W naszym przypadku ta przyjaźń opiera się na dobrej współpracy naukowej, której wynikiem jest właśnie ów zbiorek prac studenckich. Współpraca naukowa rusycystów językoznawców na linii Lublin — Tartu nadal trwa.

Anna Jarosz

Skazany na malarstwo

Ireneusz J. Kamiński

PIĘTNAŚCIE obrazów na podłodze pracowni o zaokrąglonych ścianach; obok, z tyłu, na prawo i lewo dziesiątki, może setki płócien skończonych i jeszcze białych, na stołach „Rembrandty" i Winsor i Newton" w grubych tubach, całe zarośla pędzli, palety... Pracownia jakby żywcem przepisana z Henri Perruchota, a więc i nastrój cyganerii z lat dawnych, kiedy to sztuka zdawała się być Sprawą Czystą i Najważniejszą, nie dla małych spaślaków, zdobionych złotym breloklem i czekami, choć w skrytości ducha oczekiwanych, bo żyć trzeba, jeść trzeba, wiele rzeczy trzeba, a trochę nie można... I jeszcze te słowa, pełne żarliwej wiary w sens uprawiania malarstwa, w sens artystycznego działania: „Malarstwo nie skończy się nigdy, jest potrzebne i mnie i innym ludziom, przynosi samospełnienie i radość... kopanie rowów na pustyni, pakowanie skał w plastikową folię — krótki tego żywot..." Wiara. I robota, ciężka robota malarska przez lat już czterdzieści. I walka: z naturą, własną wyobraźnią, z tymi, którzy zwątpili w sztukę lub nienawidzą za tyle energii i sukcesów.

Piętnaście obrazów Władysława Filipiaka, rozstawionych wokół pracowni. Można je podpisać „Ul. Lubelska w Kazimierzu", ale to będzie czynność zaledwie konwencjonalna. Półtora roku temu pojechał Filipiak do Kazimierza i zaczął malować ten fragment miasta. Pierwsze płótno było czytelne: błękitne, zielone, żółte i czerwone smugi farby sumowały się w formy powszechnie znanej architektury. W pierwszym starciu z naturą chodziło o inwentaryzacje jej możliwości zawartych w kształcie i barwie.

Następne obrazy coraz pośpieszniej oddalały się od zewnętrznego wyglądu ulicy, gubiły jej zabudowę, części. Ostatni prostokąt wypełniały już tylko malarskie, szerokie i przecinające się linie, miejscami rozpisane w plamy koloru. W strukturze abstrakcyjnego niemal zapisu błąkało się jednak echo realnego układu.

Można było pójść krok, dwa kroki dalej, do białego płótna, czystego jak początek, można było zastąpić biel, jak to zrobił Yves Klein, błękitem i usankcjonować ten gest jego słowami: „Tylko w dali, tylko w kolorze istnieje wolność... wstąpiłem więc w przestrzeń jednobrawną, w bezmiar uczuciowych możliwości piktografii". Albo wzorem Mondriana osiągnąć poziom wyspekulowanej geometrii.

Filipiak nie mógł tego uczynić, a nie jest w tym wypadku rzeczą ważną, że właśnie ktoś wcześniej poszedł w owym kierunku, dziś wydeptanym przez apologetów grupy ZERO i „Der Stijl". Na przeszkodzie stanął jego głęboki związek z naturą, którą, i owszem, można żonglować na różne malarskie sposoby, ale bez której trudno się obyć. Nie jest to jednak związek dawny, prosty i bezpośredni. Filipiak przez wiele lat malował wyłącznie w pracowni (na czwartym piętrze przy ul. Szopena), nie taszczył malarskiego oporządzenia w plener, nawet w Kazimierzu wolał rozprawiać się z płótnem w czterech ścianach. „Natura mi przeszkadzała" — mówi dziś. Dopiero po ogólnopolskim plenerze w Białowieży w 1965 r., w którym uczestniczył wraz z żoną malarką, powrócił w pejzaże, nieczęsto odwiedzane po studiach krakowsko-lubelskich. Natura odzyskała charakter środowiska koniecznego do artystycznej egzystencji.

W minionych dwóch latach Władysław Filipiak namalował w sumie kilkadziesiąt obrazów, które można by nazwać kazimierskimi pejzażami, jako że w scenerii tego miasteczka powstawały i jakiś związek z jego barwnym kształtem posiadają. Trzeba jednak mieć dużo prostodusznej naiwności, aby na tej podstawie uznać je en bloc za... pejzaże. Nie są to bowiem wizerunki Kazimierza, a raczej notacje osobowości artysty, autoportrety jego wrażliwości, ujawnione m. in. za sprawą konkretnego środowiska naturalnego. Farba, pokrywająca ich powierzchnie, jakby zawahała się, czy być sobą, czy kolorem, czy znakiem człowieka lub architektury. Ostatecznie jest samoistną wartością malarską, która powoduje wysokie napięcie emocjonalne, o rytmie regulowanym konkretnym przedmiotem, dyskretnie przedstawionym na obrazie.

Filipiak jest człowiekiem energicznym, pełnym inicjatywy organizacyjnej. Wielokrotnie piastował funkcję prezesa Oddziału Lubelskiego ZPAP, był jednym z organizatorów i pierwszym prezesem powstałego w 1936 roku w Lublinie Związku Artystów Plastyków. Ta sylwetka psychiczno-społeczna artysty zdaje się mieć swoje odbicie w jego twórczości.

W jednym z ostatnich obrazów kazimierskich Filipiaka, w kompozycji wyabstrahowanych linii, pojawia się nieoczekiwanie mała, ledwo czytelna sylwetka ludzka: anonimowa, biała plama, odpowiednio sprofilowana. Wymagania kompozycyjne, do których autor zawsze przywiązywał duże znaczenie? Chęć zbudowania dramatycznej metafory „człowieka zagubionego"? Być może to ostatnie, lecz na takim rozwiązaniu wątpliwości rzecz się nie zamyka. Obraz ten przypomina bowiem o pewnym dualizmie twórczości lubelskiego artysty; o skłonności do równoczesnego wyrażania określonych treści przy pomocy symbolicznych znaków oraz spontanicznego, czysto zmysłowego działania malarską tkanką.

W 1964 roku na wystawie indywidualnej Filipiaka znalazły się osiowe kompozycje figuralne, okaleczone postaci ludzkie, będące na gruncie lubelskim pierwszą zapowiedzią „nowej figuracji" w jej odmianie nawiązującej do ekspresjonizmu. Były zaskoczeniem dla środowiska, powodem przeróżnych komentarzy, w których nie brakowało i nuty ironicznej, jako że pewna grupa koleżeństwa związkowego miała i ma alergię na punkcie jakichkolwiek zmian w plastyce, inna zaś, mniej liczna, z permanentnej zmiany uczyniła zasadę, co wmanewrowało ją w końcu w „epokę postartystyczną". Dla jednych Filipiak okazał się za „gorący", dla drugich za „letni". Taki to los tych, którzy nie lubią stadnych demonstracji.

Pokazał zatem owe „Metaformy" — duże, ciemne obrazy, w których zapanowały brązy i ochry, rozbijane punktowym uderzeniem czerwieni. Hieratyczne figury nawarstwiały się aż do reliefu. I miała być totalna powaga epitafiów dla wszystkich. I była. Do momentu zbliżenia się do obrazów na odległość kroku, bo wtedy dochodził do głosu warsztat, ten znakomity warsztat malarski artysty, który w dojrzałej młodości pozostawał w bliskich i długich kontaktach ze Zbigniewem Pronaszką, z jego wysmakowaną sztuką. Wyrafinowana gra kolorystyczno-fakturalna, tocząca się na powierzchni płócien, tłumiła ideowe hasło obrazów. Wystarczyło przecież odejść, aby zabrzmiało ono z poprzednią mocą. Więc jak tu dzielić, segregować, klasyfikować tę twórczość tak wielopostaciową, czerpiącą swoje racje z różnych pokładów rzeczywistości?

Właśnie po okresie owych kompozycji figuralnych, trochę chyba nieoczekiwanie dla interesujących się twórczością Filipiaka, zrealizował artysta cykle kazimierskich „pejzaży" — barwnych, zmysłowych, swobodnie malowanych. Uniwersalistyczna refleksja ustąpiła miejsca jednostkowej radości człowieka odnajdującego swą tożsamość w emocjonalnym kontakcie z naturą. Tak właśnie, powściągliwie i obiektywnie, można określić ten zwrot — nie docierając do jego istoty. Leżącej na pograniczu życia i sztuki, w miejscu, gdzie ważą się społeczne racje działalności artystycznej.

„Metaformy" były m. in. próbą — nie pierwszą zresztą, lecz chyba najbardziej dojrzałą plastycznie — symbolicznego ujęcia problematyki niepokojącej wszystkich. Mówiły o groźbie fizycznego unicestwienia człowieka, materializowały te obsesje egzystencjalne, które obecnie sterują twórczością najmłodszego pokolenia polskich malarzy i grafików, różniąc się przecież od niej — rozhisteryzowanej i przesyconej erotyką — surowym dramatyzmem metaforycznego znaku figury ludzkiej. Dotykały pierwszej i najbardziej ohydnej sprawy współczesnego człowieka: jego biologicznego lęku.

Bodaj kilkanaście takich obrazów namalował Filipiak, po czym powrócił w pogodne światło natury, tłumiącej niepokoje. Czy nie dlatego, że zrozumiał społeczną niemoc artystycznego przesłania o takich treściach? Czy nie dlatego, że utwierdził się w przekonaniu bezskuteczności społecznej interwencji sztuki w ogóle, która wypędzona ze zbiorowej świadomości, wegetuje w muzealnych azylach — w najlepszym wypadku? Gorzki smak rezygnacji kryje się w tym powrocie do Arkadii.

Sam artysta tłumaczy to znacznie prościej: znużyły go ograniczenia warsztatowe, związane ze statycznym, monochromatycznym malarstwem, poszedł więc w plener, w barwę. „Chcę cieszyć się malarstwem". Dodajmy: tym w gruncie rzeczy pogodnym malarstwem kolorystycznym, uprawianym, jak za dobrych dawnych czasów sztuki, przy pomocy pędzla, farby i płótna, na którym zapisuje się własną indywidualność. U Filipiaka nie ma zatem miejsca na pełną rezygnację, zupełnie nie ma miejsca na zwątpienie w sens uprawiania i w dobrą przyszłość malarstwa, które przez swój porządek formalny winno wyrażać osobowość autora, budząc określone emocje u innych ludzi.

Odchodząc od owych wielkich kompozycji figuralnych w stronę „pejzaży", dokonał Filipiak tylko wyboru w ramach własnej koncepcji malarstwa. Może był to wybór bezbolesny, może wyłącznie — jak twierdzi autor — kierowany pragnieniem zrzucenia więzów ascezy formalno-warsztatowej, narzuconych sobie przy tych pierwszych obrazach, może... Patrząc na tę operację z miejsca neutralnego dostrzega się jednak znów jej sens szerszy i dramatyczny. Duże i drażniące „Metaformy" nadawały się w pierwszym rzędzie do wielkich pomieszczeń, w których np. odbywają się wiece lub nabożeństwa; tam dopiero byłyby słyszalne. Niewielkie, radosne i zmysłowe w wyrazie obrazy kazimierskie, a także powstałe równolegle martwe natury, świetliste rysunki tuszem i kredką, szansę obecności odnajdują tylko w prywatnych mieszkaniach prywatnych ludzi, gdzie służą do indywidualnej kontemplacji. Prawda, to też potrzebne, kto wie, czy nie coraz bardziej potrzebne. Amerykańscy byznesmeni, kupujący reliefy klasyka polskiej awangardy spod znaku geometrii, twierdzą, że dzieła te, zawieszone nad gabinetowym biurkiem, działają na nich kojąco.

W 1926 roku Filipiak rozpoczął swoją edukację artystyczną w Wolnej Szkole Malarstwa i Rysunku w Lublinie, będącej filią Szkoły krakowskiej, prowadzonej przez L. Mehofferową. Szkoła lubelska mieściła się początkowo w budynku dzisiejszego hotelu „Polonia", później zaś na pierwszym piętrze gmachu przy zbiegu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Szopena, którego parter zajmuje obecnie księgarnia „Domu Książki". Ostatni, piąty rok nauki spędził Filipiak w Krakowie, trafiając następnie do pracowni Weissa, co nie pozostawiło na nim żadnego śladu, w przeciwieństwie do kontaktów ze wspomnianym już Zbigniewem Pronaszką.

W Szkole lubelskiej uczył się Filipiak rzemiosła malarskiego m. in. pod kierunkiem Jana Wydry, którego obraz „Boże Narodzenie" znajduje się w muzeum na Zamku. Tenże Wydra miał zwyczaj energicznie ingerować w studyjne prace Filipiaka, własnoręcznie nanosząc poprawki — zgodne z wyobrażeniami o sztuce, propagowanymi przez „Bractwo św. Łukasza", do którego należał. Zatem uczeń wyrywał korektorski pędzel z dłoni mistrza i obaj gniewali się na siebie nie na żarty; jak wiadomo, Filipiak Szkołę skończył.

Nie dla anegdotycznego smaczku warto przytoczyć ten błachy w końcu epizod z biografii artysty. Już wtedy, ponad czterdzieści lat temu, Filipiak ujawnił swoją niechęć do tych, którzy w taki czy inny sposób usiłowali „poprawiać" jego malarstwo — także słowem. Aktywny uczestnik dyskusji na tematy plastyczne — częste kiedyś były spotkania środowiska w bocznej salce BWA — żywiołowo formułował swoje poglądy i opinie, bronił ich z pasją, a w prywatnych rozmowach był właściwie nie do pokonania, bo w ostateczności sięgał do argumentów nie do przebicia: do wiary w sztukę, do wiary w malarstwo. Zazwyczaj czynił to wówczas, kiedy wymachiwano przed nim racjami nowych tendencji, które zanegowały sens istnienia obrazu sztalugowego we współczesnej plastyce, wyszły w przestrzeń, nazwały się happeningiem, konceptualizmem... On wierzył i wierzy w obraz: barwny prostokąt, którego treść emocjonalną i układ formalny tylko pośrednio inspiruje, nie zawsze zresztą, natura.

Władysław Filipiak namalował setki obrazów, wykonał setki rysunków i grafik; akty, portrety, pejzaże i martwe natury to najczęstsze motywy, pojawiające się w jego twórczości. Ich stylistyka nie układa się w linię prostą, przypominając wykresem — gdyby taki zrobić — raczej meander. Zmienny, w nerwowym pośpiechu przebiegał tereny sztuki współczesnej, jakby szukając prawdy jedynej i absolutnej. I mimo tych poszukiwań, prowadzących czasami daleko w bok od zasadniczego nurtu działania, czego przykładem choćby próby malarstwa geometrycznego, nawiązujące do pewnych rozwiązań postkubistycznych, każdy jego obraz nosi znamię autorskiej indywidualności — zarówno „Portret kobiecy" z 1932 r., jak i „Prasowaczki" z 1946 r., jak akwarele z cyklu „Kazimierz 1963". Sposób widzenia i technikę malowania Filipiaka odnaleźć również łatwo u przynajmniej kilku... malarzy lubelskich, których albo kształcił w Liceum Sztuk Plastycznych i Państwowym Ognisku Kultury Plastycznej — kierował tą placówką w latach powojennych — albo po prostu przytłoczył swoją indywidualnością. Związki Filipiaka z Lublinem są wielostronne i mocne.

Władysław Filipiak namalował setki obrazów i jakiś smutny krytyk — rachmistrz doskonały, co to sztuki uczył się tylko na uniwersytecie i wie, że faktura musi być bogata a kolor zestrojony, mógłby powiedzieć coś na temat nadmiaru ilościowego tej twórczości, po raz pierwszy ujawnionej publicznie w roku 1932 w krakowskim Pałacu Sztuki. Bo w rzeczy samej można w tym ogromnym dorobku znaleźć co nieco prac jakby nie skończonych, które nie zaspokoją degustatorów tzw. dobrego malarstwa, rozumianego w cybisowskim sensie.

A przecież Filipiak nie namalował ani jednego zbytecznego obrazu, przecież każdy z nich był ważną sprawą artysty: samorealizacją i kolejnym określeniem się w stosunku do świata. Jest więc coś żałosnego w „obmacywaniu" poszczególnych dzieł, wyrywaniu ich z długiego szeregu dokonań, znaczących linię życia twórcy, niejako skazanego na malarstwo. Brzmi to nieco patetycznie, ale jest najzwyklejszą prawdą.

Władysław Filipiak przy pracy

Fot. M. Targoński

Władysław Filipiak — Kazimierz II.

Fot. Z. Zugaj

Noc sierżanta

(Fragment)

Stefan Maciejewski

WALEK siedział w stróżówce i walił czołem o kant stołu. Nie mógł jednak wybić tej myśli cholernej, która mu we łbie drągiem stawała. Tarmosił od czasu do czasu zmierzwione kudły i czochrał się, bo złe jakieś go gryzło i cała skóra pod włosami, z tego rozpamiętywania, swędziała.

W pomieszczeniu było duszno. Z trociniaka dyszało ciepło, jak z psiej gęby, ale Walkowi nie wpadło, aby zrzucić z siebie kożuch. Siedział niby kopa siana i takim zastało go pukanie. Skrzypnęły, potem uchyliły się drzwi na pół wykoślawionego buta, wreszcie na cały, i wtaszczył się na pożyczonych od gorzałeczki nogach Wasylenko.

— Waluś — stęknął od progu, ale zdania nie dokończył. Dopiero kiedy przysiadł się na skrzynce po prefabrykatach porcelanowych Made in Poland, a Walek zezem łypnął, usiłował wyjaśnić:

— Za — raza, Waluś, szkarada, i w taką noc nie wpuściła. Jak przed psem drzwi zawarła. Widzieliście ludzie! Gdzie mnie teraz, Waluś, samojednemu paluchowi bożemu w taki mróz? — wyrzucił z siebie jednym tchem i zamilkł.

Walek jakby go nie słuchał, toteż sierżant cichcem przysunął się bliżej pieca i oparł o ścianę. Uczyniło mu się dobrze.

Tymczasem Walek dla pewności, a może dla równego rachunku, stuknął jeszcze parę razy czołem o blat i niby się miarkując, wsparł brodę na owłosionych pięściach.

— Nie wpuściła! — powtórzył za Wasylenką, ni to pytając, ni się dziwiąc.

— Yhm, bez serca, Waluś!

— Drzwi bym takiej wywalił — mruknął bez przekonania Walek.

— Ba!

— Albo skatował do niepoznaki.

Sierżant smarknął w siebie, przeciągnął łapą po zakatarzonym kulfonie i pokiwał głową.

— Mówić, ale nie w jej ręce się dostać! Silniejsza, Waluś, od kobyły. Germański gnat. Takiej nie zmożesz, chyba śmiercią.

— Cy, cy, cy ... — zamlaskał z niedowierzaniem Walek.

Wyczucie Wasylence podpowiedziało, że go Walek ze stróżówki nie wyrzuci. Poczuł się więc pewniej i rozkrochmalił trochę. Chwilę jeszcze narzekał dla przyzwoitości i dla czasu, po czym pół litra ledwie naczętego spod koszuli wydostał. Czarnym pazurem wydłubał korek.

— W twoje, Waluś!... — podsunął butelkę.

— Ee, Wasylenko, na służbie jestem.

— Ba, kto dziś nie jest — wyjaśnił filozoficznie sierżant. Chlasnął więc Walek łyk i splunął.

— Silna, cholera.

— Silna, Waluś.

Sierżant przejął butel[illegible] łyków i charknął, aby go [illegible].

— Silna — powtórzył.

Za zakurzoną szybą wichrzysko gziło się ze śniegiem po fabrycznym placu. Telegraficzne druty wyły lodowatą polkę. Jakieś niedomknięte drzwiczki skrzypiały za wozownią. Obaj mężczyźni zasłuchali się w to granie.

— Psi czas — odezwał się pierwszy sierżant, bo nie lubiał milczenia.

Walek przytaknął ruchem głowy i zadumał się.

— To, Waluś, jeszcze łyk, psi czas...

Stuknęła butelka przed strażnikiem:

— Ech, to już wszystko tak, ech, że... — chciał coś Walek wydobyć z siebie, może to co gryzło, lecz zrezygnował. Złapał przystawioną butelkę i jakby mu wszystko jedno było, machnął siarczystego, aż się zakrztusił. Łzy mu się w oczach zatliły.

Sierżant Wasylenko drgnął, rękę wyciągnął, spiesząc z pomocą czy ostrzeżeniem, lecz tylko przychwycił butelkę i obciągnął do swojej kreski. Obtarł pięścią wargi.

— Psi czas, psa nie wygnać — powtórzył któryś raz.

Walek nie odpowiedział. Tarł kciukiem podczerwienione, łzawe oczy. A sierżantowi stawało się coraz bardziej jak pod pierzyną. Był kontent. Całe życie mógłby tak siedzieć i gadać o niczym z Walkiem mrukliwcem. Gorzałka do pięt już dobrnęła i głaskała, niczym baba po pępku. Cieplutko i raźnie, chociaż na dworze dmi — ćmi zawieja śnieżysta.

Wwiercił się Wasylenko wygodniej w skrzynię, nogi wyciągnął pod sam trociniak. Głowa mu opadła na kurtkę, puścił wargami kilka baniek, chrapnął, jeszcze raz poprawił się w siedzeniu i na dobre uciekł w sen. Znieruchomiał. Czoło mu się tylko kapkę przymarszczyło przy lewym oku, bo się skóra na kołnierzu naciągnęła.

Walek popatrzył smętnie na Wasylenkę, następnie na dopitą butelkę, po czym też zsunął się niżej w poniemiecki fotel, przytaszczony z domu dla wygodniejszej pracy i rozmartwił się powrotnie w swoich rozterkach, które po wódce wydały mu się bardziej prawdziwe, niż najprawdziwsza prawda. Żądliły mu myśli serce: nic, amen w pacirzu, do Zośki zachodzi Kuśmierzów Olek, drań, zapowietrzeniec. Nie do panien we wsi, mało mu, do żon lezie.

Wstrząsnęło Walkiem. Przy nieobecności człowieka. Kiedy pracuje on, Waluś, strażnik mienia państwowego, ten tam...

Obrazy zjawiały się szybko i ciążyły na odlew w myśli. A gdyby tak najść i przydybać dranicę i drania, gnaty przechrzcić uczciwym drągiem? Pomsty trzeba, niech nauczka będzie.

Wreszcie zaczął się nad sobą litować: człek tyra w taką noc okrutną, a te juchy pod pierzyną, na moim wyrku, harce nieprzyzwoite, ech... Aż Walka zdjęło z fotela, tak oczywisty wydał mu się wyimaginowany obraz. Otworzył przymknięte oczy, zgrzytnął zębami jak szkłem po kościach i zadygotał w gniewie.

Wyciągnięta ręka namacała lufę karabinu. Broń jeszcze bardziej zbiesiła go w zamiarze. Teraz wiedział już, czuł, co i jak ma robić. Gnaty poprzetrącać, zastrzelić sukę i niech się świat o resztę dopytuje.

Rzucił okiem na Wasylenkę i trochę jakby zgniótł bolesnego gada. Przyszło mu na myśl, że w taką noc niebezpieczną nie powinien schodzić z posterunku i na domiar tego pijanego Wasylenkę zostawiać. A gdyby tak dyrektor na kontrolę? Złośliwość ludzka ma psi węch. Wiadomo co takiego do głowy i wyżenie potem z pracy.

Targał się, łamał Walek w sobie, ale jędza nie dawała mózgowi miru. Kręciła nim jak rzeźnik w kiszkach, bajtlowała i judziła nieboraka. I wyszła gadzina na swoje.

Skulił się Walek w nagłej, złej decyzji. Chwycił karabin w pół i pchnął drzwi. Wyciął go w gębę wiatr, że aż się cofnął. Nabrał więcej tchu, głowę zbyczył i bodnięciem wsiąkł w czarnej od śniegu mieteli. Zawyło zawieruchą z prawa i lewa.

Trzaśnięcie drzwi przerwało Wasylence chrapanie. Wargi zastygły zbłąkanym uśmiechem. Wasylenko śnił właśnie swoją przeżytą przed laty wojenną jawę. Wchodziła mu w minione ze swoją teraźniejszością Niemka-kochanka, która to go dzisiaj nie wpuściła do domu i żona też nie wiadomo skąd, ale Wasylenko rączo uwinął się z bałaganem i uporządkował swój sen podług wojskowego ordynku.

Zaczął od początku, aby nie mylić kolejności. Porachunek z kucharzem Bryją zostawił na koniec. Ze snu wychodziło, iż wszystko było się zaczęło przy kopaniu ziemniaków. Dwóch zbrojnych wojowników przykłusowało pod miedzę na wypasionych gniadoszach. Ściągnęli cugle.

— Rezerwowy sierżant Wasylenko, tak?

Znad motyki podniósł głowę niski, krępy chłop.

Kapral zeskoczył z konia, raz jeszcze przyłożył palce do rogatywki i spytał grzecznie, niemniej surowo, dlaczegoż to sierżant do tej pory w domu, skoro mobilizacja, jak wiadomo.

Wszyscy, ciągnął, o tym wiedzą i gdzie trzeba meldują się w gotowości patriotycznej, tylko on, niby Wasylenko, najspokojniej w świecie, w piątym dniu wojny, kartoszki sobie jakby nic kopie.

— Tu stoi — stuknął kapral w papier — aby was dzisiaj do koszar za dobrą wolą, a nie to siłą.

Wasylenko wsparł się na kopaczce. Rękawem otarł pot z czoła.

— Ta, co ty mnie straszysz, chłopie — przemówił, — obowiązek wojskowy, chłopie, sam znam, co myślisz, że nie? Że sytuacja, wojna, tyż wiem, ale, chłopie, powiem ci, jak masz rozum człowieka, zrozumiesz. Baba mi w połogu zaniemogła. Samojedna w domu została. Trza jej ziemniaków, chłopie, wykopać, czy nie? Sama rady nie da, choćby i chciała.

— Rozkaz rzecz służbowa, o tu stoi... — upierał się przy swoim kapral.

Skończyło się, jak to w śnie.

— Kiedy tacyście służbowi, to pomóżcie. Uwiniemy się, chłopie, rychło i pojedziemy. Nie ma się co pieklić — perswadował sierżant rezerwy Mikołaj Wasylenko.

Hm, klin wbity. Według rozkazu, sierżanta mają doprowadzić, ale czy trzy godziny wcześniej, czy później? Wojna jeszcze się nie skończy, zdążą, a sytuacja wyrozumienia wymaga.

Kapral Bieda z czujnym strzelcem Okoniem wymienili wzrok i czujny starszy strzelec zeskoczył z konia. Do wieczora cztery fury ziemniaków wturlikali do Wasylenkowej piwnicy. Skończyli przy zmroku.

Po robocie sierżant Wasylenko przeciągnął się po obolałych chrystusem krzyżach i powiedział:

— Chłopcy, Bóg wam zapłać, nie ma co — i zaprosił żołnierzy na „czym chata bogata", w ten ostatni wieczór przed wojaczką.

Garbiąc się we drzwiach, jako że rośli byli, kapral ze strzelcem weszli do zasmrodzonej izby.

Na przypiecku ćmiła popękana naftówka. W jej świetle kapral i czujny strzelec zasalutowali przepisowo w kierunku kołyski i barłogu, na którym leżała, zgodnie z prawdą, sierżantowa połowica, tłusta kobiecina, niby dynia, ze ślipkami zalanymi prosiaczkowym sadełkiem — i ściągnęli rogatywki.

— Taka ją słabość zdjęła — wyjaśnił gospodarz, nalewając do kubków domorosłego pędu żytniówieczki.

Wypili na stojąco, bo i usiąść nie było gdzie: na ławie drzemały kury. Zagryźli słoniną.

Sierżant w międzyczasie przyrychtował sobie worek, z kufra kilka par gaci wyciągnął i wrzucił je do worka wraz z bochenkiem razowca — Bóg wie — czy nie będzie jak znalazł — i na późniejszy czas zmieścił pięciolitrowy antałeczek samogonu. Zawiązał worek rzemykiem.

— Jeszcze po jednym i możemy w drogę.

Wypili. Kapral Bieda wytarł wąsa, czujny strzelec tylko odkaszlnął, i, jako że pora była, poczęli się powoli wycofywać z izby dziękując za gościnę.

Wasylenko rozejrzał się po izbie, na moment wsparł oczy na kołysce.

— To z Bogiem, nie ma co — zwrócił się do żony. Na dźwięk słów mężowych kobiecina uniosła się na łokciach i wpatrzyła się w męża.

Wasylenko zrobił ruch jakby chciał podejść do barłogu, ale wstrzymał się i tylko głową dał znak pożegnania. Ruszył, lecz na progu raz jeszcze wykręcił i, niby jak zawsze szorstko przykazał:

— A dziecka pilnuj, w sąsiady po próżnicy nie goń, chudoby nie zaniedbuj i wiary dochowaj, bo wrócę, to ludzie powiedzą. Nie będzie podle bożej woli i przysięgi, gnaty poprzetrącam albo i gorzej.

Zamknął drzwi i wylazł. Na obejściu, przy gnojowisku, zaczerniły się sylwetki konnych.

— To z którym jadę?

— Z Okoniem, bo mój narwany — odezwał się głos.

Wasylenko przy pomocy strzelca wgramolił się na zad kobyły i ruszyli. Sierżant odwrócił głowę i patrzył na chałupę. Wnet jej kontury zniknęły w ciemności, tylko światełko czas jakiś jeszcze go żegnało migotaniem i pies ujadał.

Wjechali w las. Konie wolno człapały po podmokłej drodze, wybierając co twardszy grunt.

* * *

Dalej chyba by się śniły sierżantowi rezerwy, Michałowi Wasylence, jego dzieje wojenne, dokładnie i po kolei, gdyby nie podkute buciory Walka i łomot zamykanych przez niego drzwi.

Otworzył Wasylenko ślipia i nie miarkując, przeszłość czy jawa, popatrzył na Walka, który wydał mu się podobny do kaprala Biedy. Dla pewności spytał:

— To już dojechaliśmy?

Walek otrzepywał śnieg z kożucha.

— Niby to, gdzie mieliśmy dojechać?

Wasylenko nie odpowiedział. Zamruczał tylko niewyraźnie pod nosem i poprawił się na skrzyni.

Walek zaś, zrzuciwszy resztę stopniałych śnieżynek z kołnierza, naciągnął czapkę, kryjąc oczy przed światłem, po czym wsunął się w wygodny poniemiecki fotel i odetchnął spokojnie.

Po chwili nad fabryką porcelany technicznej czuwało zgodliwe chrapanie dwóch mężczyzn.

Jan Pętlewski

* * *

Ten mrok zna twarze
gwiezdnych zegarów
klucz tajemniczy
pusty od wewnątrz
jak pień starej wierzby
ale w nim gada
i dyszy
serce napełnia się trwogą.

Lublin

Henryk Kozak

* * *

Kobieta mówi

Ja już twoich snów się boję
twoich oczu i wierszy
a gdy wchodzisz do swojego ogrodu
przeklinam cię i jesteś przeklęty

I zamykam się w swoim pokoju
piszę listy całuję synka
przyrzekam nigdy nie czekać
i znów przeklinam i jesteś przeklęty

Lecz powiedz, że w twoich snach tylko ja jestem
a gdy jesteś smutny to o mnie się martwisz
w jeziorze tylko moje ciało widzisz
a gdy dokądkolwiek idziesz do mnie zdążasz

Szczytno

Stanisław Rogala

Wyznanie zuchwałego

wzrost raczkujący
napisano w urzędzie
matka pogłaskała po główce
ojciec zaśpiewał — hosanna

korony wiotczały
albo powstawały do wiotczenia
w glorii mamuciego czynu
spóźnione o szelest słowa

i usłyszałem miłosierdzie dzwonów
w pokłonie — Wielkim
głowy stukały przyzywając
sumienia

przystąpię do Was
pełnomocnicy wiary
ale
ciężką podajcie mi zbroję

Ja przebieraniec
Nazywam się
Kolumb czterdzieści...
I przyszedłem
Waszych dzieł nie nazwać

Lublin

Bohdan Zadura

Kolchida II

Gdzie kości twe Kolchida twoja tam
Gdzie złoty żwir gdzie dyscypliny śpiew

Gdzie wiatru śmiech i piasków biały gniew
Gdzie ślady twe Kolchida twoja tam

Oszalał był łagodny wiatrów król
Tarza się tam gdziekolwiek piasek jest

Ruchomy cel sprzężony z parą nóg
Gdzie kości twe Kolchida twoja jest

To co nas czeka nie jest tym na co czekamy

Nad gołoborzem jastrząb wisi
Pogoda jak błękitny pokój

Z oknem na taras kawę z mlekiem
I hamak w porze poobiedniej

Ostatnie lody tego lata
Poemat dziecka waniliowy

Jastrząb w powietrzu koło kreśli
Pęknięcie w morzu niebieskiego

I wiersz przejrzyście nieczytelny
Wątpi w swe prawo do istnienia

Kazimierz Dolny

Vilém Závada — **Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski**

Nocne czuwanie

(Panichida)

VILÉM ZÁVADA – jeden z najwybitniejszych poetów starszej generacji. Ur w r. 1905. Wnosi do poezji czeskiej żywioł tragiczny, niepokój i rozdarcie duszy, posępne zamyślenie i pierwiastki wizjonerskie. Z czasem wyzwala się z pesymizmu na rzecz wiary w wartość człowieka. Z życiem godzi go umiłowanie natury, ziemi ojczystej i poczucie łączności z narodem. Język jego często szorstki, celowo niemelodyjny odpowiada dysonansom jego duszy. Pisze na ogół niewiele: „Panichida" (1927), „Syrena (1932), „Droga pieszo" (1937), „Wieża zamkowa" (1940), „Zmartwychwstanie" (1946) i in. Poemat „Nocne czuwanie" („Panichida") jest niezmiernie charakterystyczny dla wcześniejszego okresu jego twórczości.

Vitézslavowi Nezvalowi

Prawdy Gorzkiej prawdy!
Danton

I ty ten spirytus pijesz jako życia boleść
Tego życia które pijesz niby alkohole
Apollinaire

paląca popołudnie wyło syrenami
potem zaczęło się miasto z wolna spowijać w ciężkie draperie
zmierzchu
nastawał zmrok
na masztach rozgorzały lamp łukowych warty przed
katafalkiem wspaniałym
przez bulwary ciągnęła armia w ...derach krokiem
marcia funebre
ze wszystkich domów zamiast żałobnych chorągwi wzleciały
balony na sznurkach
powiedziano mi że to uroczystość ku czci bohaterów
światowej wojny
ponieważ z każdego domu odleciała podczas wojny jedna
albo dwie dusze
z podziemi teraz w balonach wracają na urlop
pobędą tu tylko chwilę by nam przypomnieć że kiedyś żyły
i wreszcie jakby domy te wszystkie wraz z balonami gdzieś
odleciały
tylko pomiędzy górami długo do nocnej szarości
zachodzącego słońca sterczała rozwarta paszcza
to była paszcza rozwarta
to była do czerwoności rozpalona głownia armaty
nie wiem co potem się działo
nie przypominam sobie nic już więcej

ogłuszony wielkością panichidy
usłyszałem swe skargi jak gdyby z niezmiernej dali
strach mnie dławił
jak gdybym omdlał pod nogami tłumu

gdy wróciłem do domu dostałem list byłem zmartwiony
po schodach bez stopni
przyszedłem do swego pokoju już nie wiem jak
elektryczne światło pachniało jak kawa figowa
uspokoiłem się nieco
tylko w głowie mi się tłukły plantacje tytoniu
o serce ściskała nieznana boleść

rzucam się na łóżko
zasypiam
i przez sen szlocham
jak ćma do światła
rzucam się do pracy
nie wiedząc że nadpalam sobie skrzydła

grążąc się w zagadkowym półświcie
kryształów gwiezdnego szronu mineralogii sekretów
która ukrywa przede mną swą zagadkową fatalność
czuję jak blednę jak szybko pulsują me żyły

chcesz pisać encyklopedię
już nie taką brutalną jak przyroda a zwłaszcza mineralogia
chcesz wykorzenić stare słowniki zastąpić je nowymi
lecz nie tyle w języku rosyjskim japońskim czy angielskim
ile w mocnym wspaniałym języku czysto ludzkim
zwłaszcza kiedy się dowiesz w kawiarni
że „aufmerksam" to znaczy
gdy pikolak kładzie gazetę starszej pani na stole
za co go ta obdarza
obrazkiem cukierkami i nadziewaną czekoladą

ale wszystko się zmienia ty sam się zmieniasz jak pogoda
a narzekasz narzekasz że już się nie możesz zmienić

chwyciłbyś brutalnie kapryśną przyrodę za włosy
i wsadził do szklarni
tam żywił ją asfaltem i zielonym ścierwem co cię mierzi

jednak za każdy razem będziesz stał jak przygwożdżony
gdyż syreny huczą w błotnisty i szary przedwieczerz
a mniszki nocy żarówki tak uroczyście nie mrą jak rakiety
jednak płoną jak oczy sowie
pod huczącym sklepieniem z ruchliwymi soplami deszczu
co grają na srebrnych piszczałkach organów i fletni
i brzęczą na dachach kopuł
w ten topniejący błotnisty i szary przedwieczerz

na samym pobrzeżu śmierci
siedzisz w kucki jak święty Augustyn
i muszlami swych wierszy przelewasz swarliwy ocean

a morze smakowicie przewala swe fale
jak wy na język lejecie tanie swoje wino
zamknięci w ponurym akwarium kawiarni
tęsknicie za żłopaniem choć piany sczerwieniałej morza

wszyscy się trzepocemy jak chrząszcze schwytane
pod firmamentu sklepieniem szklanym
zanim nas wrzucą w straszną gardziel śmierci

a planeta Ziemia stale obraca się wokół swej osi
jak tutaj w dole moja płowa głowa
co na próżno rozgląda się i oczekuje
kogoś kto nie nadchodzi

flisacy z harmonijkami siedzą wieczorem przy ogniu na
tratwach
co cicho płyną
jak to życie i miłość i młodość jak ty sam
osiodłany chimerą rzucasz się na spotkanie wichrów i
ciemności bram

przed wszystkim można uciec
ale przed sobą i śmiercią nie uciekniesz
a więc gdzie tylko gdzie tutaj czy tam
zasadzić koralowe swe serce podobne kotwicy

wszędzie pustynia miłości żrąca i bezimienna
od żadnego z nas potępieńców nie otrzymała dotąd
należnego imienia
okrutna jak Oceany Afryka i Azja
dwudzieste stulecie pogaństwa ku upadkowi się chyli
i jedyna namiętność trwa w tej chwili
wola doskonałości i zazdrości
te piękne bestie żarłoczne okrutne
nie znają matczynej pępowiny
rzucone na tę planetę parcelują wszystko
budując na spróchniałych wybrzeżach z betonu i
marmurowych kretowisk
w idylli żaluzji tylko widzą cel swej szczęśliwości
i w pokoju wytapetowanym słońcem
i w jedynej modlitwie
aby dłonie złożone w kształt koryta
były ulami
gdzie w woszczynach jak plastry miodu smakowite
gęstnieje i nabiera słodyczy całkowite szczęście
dotychczas przez nikogo w pełni nie zdobyte

gęstnieje i nabiera słodyczy szczęście w dłoniach
a nie ma gdzie się przelać
lecz nagle zmieniło się w ciężki wrzód i oto zapadło
we własne ciało gdzie przędzie swe chorobliwe tkanki

pryskającą racą dowcipu tryskałeś tu dokoła jak fontanna
te samolubne dziewczyny drżały jak barwne baloniki
w szumiącym wybuchu gejzeru
od dna pobudzanego przez twą wieczną skargę

są przepełnione sady z duszącą zielenią
kochankowie się tulą do kochanek
poczynają sobie niezręcznie zawstydzeni
a w burdelach widziałeś otyłe brzuchy
co pachną wygódkami tajemnej rozpusty
dla nich piersi dziewczyny to dwie wiązki siana
na których się pasą połknąwszy kotlety
ich mózg stale jak ślimak w skorupie czaszki się rusza
i srebrzy śliskimi mostami swej masy perłowej
wszystko co oblizywać i czyścić ma ochotę

---

przeląkłeś się szantanów gdzie mężczyźni śpiewają kuplety

te obrazy okute świeczkami ciężko się wryły w twą pamięć
stale odchodzisz i stale się żegnasz
a jednak nie możesz się z nimi rozłączyć

a teraz jest błotnisty i szary przedwieczerz który dymi mgłami
lecz to jest octem przepojona gąbka którą ci podali
pod gazowymi latarniami dławisz się i zwracasz trujące piekło
trujące piekło nie strawionego świata i wszystkiego co w tobie
się wściekło

a wreszcie cóż to za kłopot
wnętrzności już wywrócone
i więcej nie można zwracać

a tymczasem
kruszcowa przestrzeń jak magnetyczne pole
oddala od środka do krzywej gościńców niedzielne tłumy
z ich folklorem
pałki deszczu tłoczące świeże powietrze młócą barwne ubiory
co lśniły jak wspaniała szata duszy ludu
w przegrzanym raju owiec tam w dole

klęska przerwania się pomału zmienia
w melancholijne ciche mżenie

i w tej szarawej sieci deszczu
żyjemy ściśnięci i ciężcy jak w skafandrze nurek
i łowimy w swych głębinach
ryjemy i łowimy w swych głębinach
nie zważając na to że się topimy w straszliwej nicości
aż potem topielcy pęczniejmy grozą
wytrzeszczając oczy nie wiadomo gdzie

biły godziny
zwaliwszy się bezwładnie
leżałem śmiertelnie blady

nabalsamowany niezmiernym cierpieniem
przypominałem pono pośmiertną maskę Pascala
potem się poruszyły i otwarły drzwi
weszła ma stara przyjaciółka

jedynie ze współczucia dla niej pozwoliłem się ukająć
pieszczotą
nieczuły na wszystko jak egipska mumia

nie zapomnę jednak głosu którym mnie krzepiła
pełna niepewności schylona nade mną zaczynała rozumieć
gdy mówić jęła wpiłem się w jej oczy

Atlantyda kiedyś zginęła i ziemi nie ubyło
setki tysięcy mężczyzn padło w wojnie światowej
i ziemi to nie poruszyło
ziemia się nie zatoczyła jak pusta skorupa na morzu
jak można się było spodziewać
tyle młodych kobiet zmarło w latach epidemii
obłoki ani się zalzawiły
Pompeję zasypał popiół i nowe wyrosły miasta
zrozumiałem że ma rację
swoim wzrokiem upartym jakby mię hipnotyzowała
dźwignąłem się ciężko

wszystkie swe stare podręczniki zawinąłem w pajęczynę
która się uchowała w fioletowym zaciszu młyńskiego koła
i spuściwszy stawidła
rzuciłem książki w odpływ strugi

oto wszystko ma dla mnie nowy urok
jakbym wstał po ciężkiej chorobie

tego wieczora drzwi wszystkie beczały na rozcież

w kosmicznym wietrze jak porwany sztandar
zataczam się śpiewam i płaczę
i znów me nadzieje kąpią we krwi swoje skrzydła

pocałunkami bez liku napierają wiatry na ziemię
nie skalaną jasnością migotliwych woni pyłkiem ją zapłodnią
dla nieporosłej w pióra dotychczas krainy
w błękicie się wietrzą obłoczków powijaki pieluchy pierzyny
deszczem spłukane grudy lśnią jak na talerzach kawior
dzieciątka ślicznie śpiewają w kołyskach matek łona
kobiety kołyszą się w biodrach niby weneckie gondole
linie kruche jakby z porcelany
egipskie wazy rozkoszy i powabu
całowano je w bramach między skrzyniami
całowano je na podwórzach gdzie z balkonów wesoło po-
powiewała bielizna
mają tak grzeszne oczy jak w nocy bachiczne kotki
mają tak grzeszne oczy które wreszcie się zasłonią
kornety klasztornej czystości
na dnie ich jednak wciąż fosforyzują
czarodziejskie drogerie z balsamami wróżek
mają tak grzeszne oczy znające trzy albo cztery przemiany
oto teraz to studnie z alabastrową cembrzyną
pływają dwie salamandry w czarne i żółte prążki
teraz znów to są dwie szlachetne oranżerie
gdzie się uprawia szare zielonkawe i żółte odcienie
najpiękniejszych na świecie mimoz o nazwie królewskich
źreniczek
są to na Boże Ciało koszyczki
w których pachnie narwany firmament
te oczy kobiet błyszczący firmament gdy wszędzie pochmurnie
i pada
te oczy kobiet dzwoniące gwiazd roje tam nawet gdzie
wszystko jest w śniegu

firmament niebieski i złoty gwiaździsty jak sztandar Ameryki
niebieski z gwiazdami sztandar Ameryki poszukiwaczy złota
i niespodzianych odkryć

te oczy kobiet Ameryki poszukiwaczy złota i niespodzianych
odkryć w poezji
w tej poezji co niebem gwiaździstym jest naszego życia

te niebieskie i złote i gwiaździste oczy kobiet
ach gdyby gdyby to wiedziały
że przebywając u nich minąłem się z czasem
uroniłyby łezkę powiedziały czule
dziecino nie igraj z ogniem
kto z poezją przestaje od poezji ginie

tak się wtedy cieszyłem
ale wkrótce zaczęło mnie to męczyć
usiadłem na murawie
jakby zmożony uciążliwą pracą
chciałem się udać w podróż
jakby w poszukiwaniu straconego zdrowia

moja przyjaciółka proponowała mi pewien kraj
podobno wszystkie równoleżniki i południki przebiegają nad
nim
wyginając się w sklepienie jak pręty w kabince
jest to ogromna weranda kołysana od wieków przez morze
koronki piany i zabawy są tam serpentynami życiowych
głębin
historię się tam powtarza za każdym razem inaczej na
wyższym poziomie
Cyd historyczny z kordem i w peruce
jest tam dzisiaj sportowcem honoru i gentlemanem w
marynarce
a dzisiejsi i przyszli poeci są jak trubadurzy
którzy dla pani na zamku zawodzili pod wierzbami nad
strugą
jest to ogromna weranda jest to ogród Francji
i od wieków po dzisiaj kołysze ją morze

ale ja tęskniłem za ziemią
gdzie słońce w cichym kraiku panuje czule
gdzie szalej i miłość i żmij złote mleko tak słodko smakuje
a rusy blask świętości z wonią rezedy i konwalii kwiatów
w melodyjnym lazurze miesza się jak plewy
które rozprasza młynek wietrzyków łuskowatych

oto jesteśmy w jakimś p...czym mieście
wiatry unoszą ziemię i wszystko do góry jak zapach kadzidła
i tylko ja się mieszam żałośnie w tym tłumie co kipi
i padam na dno niby rdzawe ziarno

na rozdrożach stoją posągi
i wysmagana boża męka
tamtejszych wiosek ikony

gdybyż mnie było można
nikomu się na nic nie przyda...
a jednak być kochanym tak jak one

może miałem być powietrzem
może miałem być wonią
może miałem być wietrzykiem
który czochra i trąca nieruchome tonie
pragnąłbym się unosić jak najlżejsza para
nie wiem
ale gdziekolwiek pójdę czuję że nie jestem w domu

jakiś kolec z którym się urodziłem
aż do śmierci mnie kłuje i truje

być poetą to być nazbyt młodym to być nazbyt starym
być poetą to być niezniszczalnym to być jako czołg
i mieć w albie swych oczu fotografię wszechświata
chyba
że to już będzie ostatni ciąg dalszy mojej powieści i koniec
kiedy w tym ciągu zostanę zdruzgotany
we włosach pełno lodowatych kier

może jestem chory
ale nie mogę już mówić
jestem chory
ale przyjdzie wiosna
użyźnię i skopię ogródek
i wtedy okrzepnę

idę do lekarza
nie wiem co mu powiedzieć
ze wstydu drżę w poczekalni

panie pan wkrótce umrze
pan za mało oddycha
przy każdym spojrzeniu wstrzymuje pan oddech
i zamiast zdrowych wydechów wymyka się westchnienie

wszystkie drzwi dzisiaj tak beczą od rana

świtanie już dzwoni koniec upojenia
był ten co się upił i zwrócił
kto z poezją przestaje od poezji ginie

Z dziejów polskiego kalwinizmu

OSTATNIO na półkach księgarskich ukazała się monografia pt.: „Działalność oświatowo-kulturalna kalwinizmu małopolskiego" — pióra Stanisława Tworka, lubelskiego historyka, autora licznych prac z zakresu dziejów wyznaniowych Polski, znawcy zagadnień reformacji i odrodzenia. Zarówno historycy, profesjonalnie zajmujący się dziejami różnowierstwa polskiego, jak również wszyscy ci, którzy interesują się przeszłością Małopolski, zwłaszcza regionu lubelskiego, z zadowoleniem powinni powitać tę książkę.

Od dawna już najwybitniejsi polscy znawcy historii kultury, Aleksander Brückner, Stanisław Łempicki, Stanisław Kot, w swych pracach podkreślali — mimo iż szkolnictwo protestanckie posiadało wyraźne oblicze religijne — jego znaczenie dla rozwoju kultury polskiej, wychowania młodzieży oraz tworzenia nowych ośrodków nauki i kultury. Tymczasem, o ile dzieje szkół luterańskich (Gdańsk, Elbląg, Toruń), braci czeskich (Leszno), a zwłaszcza ariańskich (Raków, Lubartów), są lepiej opracowane i znane, to szkolnictwo kalwińskie, poza swymi początkami (Pińczów) nie posiadało dotychczas prawie żadnych opracowań. Przyczyną tego stanu była szczupła baza źródłowa do badań nad szkolnictwem kalwińskim i mała efektywność poszukiwań źródłowych, dotyczących niewielkich, niejednokrotnie efemerycznych ośrodków szkolnych.

Tematyka pracy S. Tworka obejmuje całokształt działalności oświatowo-kulturalnej kalwinów małopolskich w latach 1559—1768 ze szczególnym uwzględnieniem zagadnień szkolnictwa. Znalazły tam również omówienie w nieco skromniejszym wymiarze: sprawa studiów kalwinów małopolskich w ośrodkach krajowych i zagranicznych, a także problem twórczości literackiej i działalności wydawniczej różnowierców. Problematyka ta została przedstawiona na szerokim tle historycznym.

Oscyluje ona między problemami oświaty, religii, kultury i literatury, ukazując trudne dzieje szkolnictwa kalwińskiego w sposób interesujący, wszechstronny, a zarazem lekki i nawet barwny. Głównym terenem dociekań stała się Małopolska właściwa — a więc przede wszystkim tereny dzisiejszych województw: lubelskiego, krakowskiego, kieleckiego i rzeszowskiego.

Stanisław Tworek po przeprowadzeniu w pierwszym rozdziale analizy warunków działalności ruchu kalwińskiego w Małopolsce w XVI—XVIII w., przedstawia szkolnictwo kalwińskie, przedstawiając kolejno dzieje poszczególnych zakładów oświatowych.

Mamy więc obraz działalności „pierwszej średniej szkoły humanistycznej na ziemiach polskich" — gimnazjum pińczowskiego — ośrodka, który wypracował wzory urządzenia szkoły adaptowane później dla potrzeb nowych zakładów oświatowych (np. szkoła w Dubiecku w Ziemi Przemyskiej). Funkcjonowanie gimnazjum pińczowskiego, a następnie krakowskiego — to okres świetności szkolnictwa kalwińskiego w Małopolsce w XVI w., okres zabiegów kalwinów małopolskich o stworzenie wyższego ośrodka naukowego i wreszcie okres powoływania nowych, mniejszych rangą szkół.

Autor, omawiając te czasy, wprowadza czytelnika do szkół w Seceminie, Bychawie, Turobinie, Kryłowie, Paniowcach, Opolu, Kurowie. Szczególnie dużo miejsca, bo aż dwa rozdziały, poświęcił Tworek dziejom i kręgowi oddziaływania szkoły prowincjonalnej bełżyckiej, stawiając ją na jednej płaszczyźnie ze słynną szkołą pińczowską zarówno pod względem poziomu nauczania jak i formy organizacyjnej. Nie mniejsze znaczenie przypisywał autor szkole dystrykłowej w Kocku i szkołom kontynuującym tradycję Bełżyc — w Krasnobrodzie, a następnie we Włodawie. Z mniejszych zakładów oświatowych dość dużo miejsca zajmują dzieje efemerycznych karier szkół „przyzborowych" w Biłgoraju, Piaskach, Sławatyczach, Beresteczku, Maliciach, Wojczy, a także w Ożarowie i Baranowie.

W pracy omówione zostały również dzieje ważniejszych szkół woj. krakowskiego. Sygnalizując ten obszerny materiał należy wspomnieć o szeroko potraktowanej historii gimnazjum krakowskiego i innych zakładów oświatowych powstałych po upadku i zniszczeniu zboru w Krakowie w 1581 r. (Oksa, Szczepanowice, Chmielniki).

Upadek szkół kalwińskich we Włodawie (1683), Szczepanowicach (1688), Chmielniku (1691) zakończył burzliwe dzieje szkolnictwa kalwińskiego, skazanego od początków swego istnienia na bezpardonową walkę i konfrontację z ośrodkami oświatowymi katolickimi, a także ze szkolnictwem innych ugrupowań reformacyjnych. Walkę tę kalwini małopolscy przegrali i u schyłku XVII w. pozostały w Małopolsce tylko nieliczne szkółki przyzborowe.

Problem szkolnictwa kalwińskiego związany jest ściśle z szeregiem innych zagadnień dotyczących reformacji w Polsce. Przede wszystkim należy tu wymienić sytuację polityczno-prawną różnowierstwa polskiego oraz jej wpływ na opinię społeczeństwa wobec dysydentów. Sprawa ta stała się palącą w połowie XVII i XVIII w., kiedy to dysydenci polscy w obronie swych praw zaczęli szukać opieki u mocarstw wrogich Polsce. Postępowanie takie nie przysparzało im bynajmniej popularności. Problem ten — sprawa granicy między świadomością religijną a polityczno-patriotyczną różnowierców polskich — został także ujęty w pracy.

Tworek podjął trud zebrania dotychczasowych marginalnych, rozproszonych wiadomości dotyczących kalwinizmu polskiego, a w oparciu o szerokie wykorzystanie źródeł rękopiśmiennych i drukowanych, akt, konkluzji i korespondencji synodów różnowierczych, akt wizytacji zborów, ksiąg zborowych, diariuszy alumnów, także literatury wyznaniowej, polemiczno-wyznaniowej kalwińskiej i wielu innych źródeł doszedł do ciekawych, nowych ustaleń. Powstała więc książka, która zarówno formę i treść w pełni naukową, jest jednocześnie szeroko dostępna dla wszystkich zainteresowanych problemami kultury polskiej, a winna stać się szczególnie bliska badaczom — regionalistom, wielbicielom historii Małopolski, głównie zaś regionu lubelskiego.

Książka została wydana starannie i w ładnej szacie graficznej przez Wydawnictwo Lubelskie. Należy tylko żałować, że pozbawiono ją indeksów osób i miejscowości.

Krystyna Kwiatkowska

Stanisław Tworek „Działalność oświatowo-kulturalna kalwinizmu małopolskiego (połowa XVI — połowa XVIII w.)" Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1970, s. 394.

Góra i mity

Kazimierz Parafianowicz

KAZIMIERZ ma szczęście do mitów i legend. Nieszczęsne szczęście. Nic bowiem bardziej nie fałszuje obrazu prawdy historycznej jak mit, posiadający w dodatku pewne cechy prawdopodobieństwa. Takim mitem otoczona jest Góra Trzech Krzyży w Kazimierzu. Przedostał on się nawet do literatury przewodnikowej.

W II „Roczniku Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego" z 1908 r. czytamy: *Zwiedzających Kazimierz lubelski turystów informuje przewodnik, B. Pukiel, że trzy krzyże na wzgórzu, zwanem Kalwarią, są postawione na pamiątkę pochowania tam osób zmarłych na cholerę.* Twierdzenie to w nieco zmienionej wersji powtarzać będzie literatura przewodnikowa do dziś: *...wybuchła w 1707 roku epidemia cholery. Skosiła ona prawie trzecią część mieszkańców. Do dziś na Krzyżowej Górze jako pamiątka tamtych strasznych czasów stoją krzyże z czarnych dębów.* (Lech Pietrzak, Kazimierz — miasto polskiego renesansu, Warszawa 1957, s. 19). Jak zwykle w przewodnikach, nie ma jednomyślności nawet w datach. Autorzy podają dość rozległy ich wachlarz: od 1706 aż po 1708 r.

Wszelako podawane przez Pukiela i innych wyjaśnienie genezy kazimierskich krzyży zdaje się być jasne i zrozumiałe. Nie przynosiło też ono powodów do podejrzeń, mimo że istniała już literatura cytująca szesnastowieczne źródło: w roku 1589 zawarta została umowa między proboszczem kazimierskim Maciejem Bechem a Mikołajem Przybyłą w sprawie zamiany placów, z których przekazywany proboszczowi leży w pobliżu kościoła parafialnego „pod górą Krzyżową". Umowę tę wpisano do ksiąg miejskich kazimierskich w roku 1594.

Choć wiadomość z r. 1589 przesuwa wstecz nazwę góry o przeszło sto lat, to jednak nie dyskwalifikuje poprzednich twierdzeń: z nazwy „Góra Krzyżowa" nie wynika bowiem liczba krzyży: mógł być jeden, a mogły być i trzy. Zaś przyjęcie się wersji o XVIII-wiecznej genezie krzyży ma wytłumaczenie w znanych gdzie indziej fundacjach kaplic, figur itd. z okazji epidemii. Kolumny Maryjne, pomniki Trójcy św. stawiane były w drugiej połowie XVII wieku i w pierwszej połowie wieku XVIII na Śląsku, w Czechach itd. jako wotywne i ekspiacyjne fundacje z powodu grasujących chorób. Charakteru takiego trzy krzyże zdają się jednak nie posiadać. Wątpliwości te podziela także cytowany już Lech Pietrzak, który w innym miejscu swego przewodnika pisze: *Na szczycie góry wznoszą się trzy drewniane krzyże. Podanie mówi, że postawili je mieszkańcy Kazimierza nękani w 1706 roku epidemią cholery. Prawdopodobnie jednak krzyże stały wcześniej, gdyż nazwa Krzyżowej Góry figuruje w dokumentach z 1594 roku. Zwyczaj stawiania trzech krzyży na wzniesieniach górujących nad osiedlem sięga u nas wczesnego średniowiecza.*

Sprawę warto wyjaśnić. Informatorem naszym będzie księga miejska Kazimierza Dolnego obejmująca lata 1568—1593, przechowywana w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Lublinie (w zespole ksiąg kazimierskich oznaczona numerem 1). Zrozumiałe jest, że taki obiekt jak Góra Krzyżowa musiał być często wymieniany jako punkt orientacyjny — dla łatwiejszego określenia położenia innych obiektów. W takiej roli Góra Krzyżowa występuje kilkakrotnie. I tak pod rokiem 1577 znajdujemy zapis: *...pod górą krzizową...* (s. 248), podobnie pod rokiem 1579 (s. 290) 1580 (s. 338), 1588 (s. 480), 1589 (s. 509).

Oczekiwaną odpowiedź dają jednak dopiero zapiski z lat 1588 i 1590. Czytamy w nich: *...od góry pod krziżami a drogi podzamkowej...* (s. 479) i dalej: *...podle drogi idącej do zamku od góry rzeczonej u krziżów...* (s. 531). Stoją więc na górze krzyże — mówi się o nich w liczbie mnogiej. Są to z pewnością trzy krzyże, znane nam do dzisiaj, a pełniące dewocyjną funkcję upodobniającą wzgórze do góry Golgoty. Wymowa symboliczna i ideowa tego pomnika ma w XVI wieku, w drugiej jego połowie, szczególne znaczenie: dewocyjno-kontrreformacyjne. Będzie to dominujący motyw w panoramie Kazimierza, odnawiany wielokrotnie w razie zniszczenia któregoś z krzyży. Być może jakaś renowacja krzyży miała miejsce tuż po epidemii 1708 roku i stąd późniejsze wiązanie ich genezy z tym wydarzeniem.

Poszukiwanie czasu wzniesienia trzech krzyży prowadzi przede wszystkim ku Soborowi Trydenckiemu (1545—1563) i następującym po nim okresowi gwałtownego nasilenia akcji kontrreformacyjnej oraz opanowywania przez Kościół wszystkich dziedzin życia społecznego, politycznego i prywatnego. Niewykluczone jednak, że metryka kazimierskiej ewangelicznej „góry Golgoty" jest wcześniejsza i sięga XV wieku — okresu po soborze w Konstancji (lata 1414—1418), po którym kult męski Chrystusa uległ szczególnemu nasileniu w obliczu narastającego husytyzmu, co zresztą w prostej linii podjęte zostało w następnym stuleciu kontrreformacji.

Są to więc zgoła inne przyczyny i inne czasy niż te, które lansowali przewodnicy i przewodniki. Na tym jednak nie kończą się problemy kazimierskiej Góry Trzech Krzyży. Może nawet tu właśnie leży początek problemów nowych. Jednym z nich jest sprawa nazwy. Henryk Rutkowski w swojej monografii Kazimierza pisze o *Górze Krzyżowej, zwanej także Górą Trzech Krzyży i Łysą Górą.* Podwójna nazwa: Góra Trzech Krzyży i Krzyżowa nie wymaga wyjaśnień — jest już dla nas zrozumiała. Co więc z Łysą Górą? Zarówno w XX wieku, jak i w XVI-tym Łysą Górką (nie Górą!) nazywa się wzniesienie w zupełnie innej części Kazimierza. O jej położeniu mówi np. zapis pod rokiem 1612: *...podlie dołu co idzie na Łysą gurkę w Czerniawach...* (Księga miejska Kazimierza Dolnego nr 5, s. 134). Należy zatem rozdzielić oba obiekty fizjograficzne.

Na koniec należy dodać, że były i takie wersje genezy kazimierskich krzyży: *W Kazimierzu, na miejscu zgonu Małachowskiego, postawiono trzy wysokie krzyże, widoczne nawet zza Wisły, bo są wzniesione na wysokiej górze...* — opowiada B. Gembarzewski. Natychmiast to sprostował Henryk Wierciński: *góra 3 krzyży wznosząca się nad Kazimierzem nie była terenem bitwy w d. 15 kwietnia 1831, a 3 krzyże nie stoją na tem miejscu, gdzie poległ Juliusz Małachowski, i nie na tę pamiątkę zostały tu wzniesione.* W ten sposób już przed 60 laty upadła jeszcze jedna, krótkim ciesząca się życiem, legenda.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Redaktor konkurencyjnych „Odpowiedzi redakcji" ciągle narzeka, iż brak w „Kamenie" miejsca na fraszki. Być może brak. Lecz nie w naszym niezależnym organie. Poniżej publikujemy fraszki p. W. K. z Dusznik, obracające się wokół jednej z najważniejszych spraw egzystencji jednostki:

MIŁOŚĆ

Miłość ma wiele imion —
Jaś, Krzyś, Leoś, Flimon.

MIŁOŚĆ UDUCHOWIONA

Kocha bliźniego —
Pierwszego lepszego.

MIŁOŚĆ GORĄCA

Gorąca jak wulkan,
Jak lawa płynąca —
Od piersi do kolan —
I nagle śpiąca.

AKT

Niechętne ręce, niechętne usta,
Tylko uda, pusta rozpusta.

DUMA

Oczy za mgłą,
Włosy w nieładzie.
Dumna — wspaniała,
A jednak się kładzie.

SKOMPLIKOWANA

Lecą kartki z kalendarza,
A ona wciąż się obnaża.

ŻONA

Żona istota święta
Przeze mnie przeklęta.

WIERNOŚĆ

Co drugi żonaty
Zdziera z panny szaty.

Mamy nadzieję, iż Czytelnicy dostrzegą całość emocjonalno-problemową, jaką ułożyliśmy z nadesłanych utworów.

Wiosenny zlot teatralny

Dokończenie ze str. 8

Niekiedy zachodzi tutaj nawet pewne szczególne zjawisko: jeśli zestawimy np. niedawno zrealizowany w Teatrze im. J. Osterwy scenariusz K. Brauna „Przenikanie" z realizacją scenariusza Andrzeja Rozhina „Każdy", porównanie wypadnie niewątpliwie na korzyść ostatniego, z tej prostej przyczyny, że dobry teatr studencki jest bardziej wyspecjalizowany w opracowywaniu scenariusza z elementami pantomimicznymi i w jego wykonaniu (zresztą oparty na świetnych tekstach staropolskich scenariusz „Każdego", wyróżniony na VI SWT Wielką Nagrodą ex aequo ze spektaklami łódzkiego Teatru „77", wymaga osobnego omówienia, co też sobie rezerwuję na czas najbliższy).

Że teatry studenckie odchodzą ostatnio od pozycji ściśle dramaturgicznych — do scenariuszy, czy to dobrze czy źle?

Po prostu jest to naturalne. Teatr studencki nie może stawiać w zasadzie na aktorstwo, jak to powinien czynić teatr zawodowy, toteż ucieczka od „tradycyjnej" dramaturgii (tj. od gotowych sztuk), będąca niejako zagrożeniem dla sceny zawodowej, staje się zdrowym odruchem w zespole studenckim.

Chcąc rzetelnie ocenić osiągnięcia poszczególnych ST, które wystąpiły w lubelskiej wiosennej konkurencji, trzeba by napisać recenzji — kilkanaście, proszę się tedy nie dziwić, iż ograniczę się do spostrzeżeń ogólniejszych a raczej oszczędną egzemplifikacją.

Otóż przy całym zadowoleniu, jakie daje poziom artystyczny większości pokazanych spektakli, przy całej satysfakcji, jaką sprawia fakt, że wszystkie bez mała spektakle odznaczają się żarliwym zaangażowaniem w problemy otaczającej nas rzeczywistości — troskę jednak muszą budzić dostrzegalne w poszczególnych przypadkach objawy dość specyficznej dla inteligenckiej młodzieży naszych czasów „choroby wieku", swoistej choroby drugiej połowy XX stulecia, osobliwego Weltschmerzu, różniącego się od bajronizmu i werteryzmu tym, że powstał na tle konkretnych tragedii ludzkości, a przecie jest bardziej od niegdysiejszego bajronizmu deklaratywny, boć niejeden dzisiejszy nosiciel serca „na temblaku" w istocie nie gardzi uciechami doczesnego żywota.

Mówiąc przykładowo, wolałabym widzieć mniej pesymizmu w „Podróżnych" Romana Nowotarskiego, pięknie zrealizowanych przez gliwicki Teatr „STG" (posłuchajcie tego: *Błądzimy w poszukiwaniu portów i lądów. Nasze podróże są bez kresu. Ponieważ nikt z nas nie wie, gdzie wyląduje...*) — i mniej tragizmu w całkiem udatnie opracowanym pod względem kształtu plastycznego „Węźle" Teatru „Ą" z Gdańska.

Nad generalną, „dogłębną" mizantropię przekładam celną satyrę na konformizm, nad kiwanie palcem w bucie — tak, stanowczo przekładam konkretny krytycyzm, jaki znajdujemy w dowcipnie napisanym i wesoło zagranym „Spisku" Z. Hejduka (łódzki Teatr „77", który zaprezentował jeszcze równie celny, w innej konwencji, spektakl „Hommage à Apollinaire", jak gdyby lansujący myśl o potrzebie przepojenia życia codziennego poezją). Z niemałą też przyjemnością przeczytałam w programie do owego hołdu przytoczony „zamiast eksplikacji" fragment odważnego felietonu Ćwieka z „Odgłosów". Pozwolę sobie zacytować następujący passus:

Zrelatywizowano nam wszystkie wartości, zniechęcono do wszystkiego co było i jest... Piękność stała się kategorią wstydliwą, jak niewczesny rumieniec, turpiści uznali ją za banalną, głupią sztampę, wywlekli swoje rekwizyty — ścierki, druty, wrzody, rynsztoki, z teatru wyrzucono człowieka coś tam przeżywającego... Jednoznacznie brzmiące zdanie uważamy za szczyt wulgarnego prostactwa, melodyjną piosenkę przepuszczamy przez takie wynaturzone instrumenty... aż zostaje tzw. nowoczesna interpretacja, której już nie odbiera się słuchem: odbiera się całym roztrzęsionym do histerii splotem nerwów, jelit, mięśni, odruchów.

Skoro miejsce „na łamach" przeznaczone dla tak obszernej materii, jaką jest Studencka Wiosna Teatralna, pozwala tylko na ogólnikowe impresje, zakończymy omówienie kilku kwalifikacjami z kategorii „podoba się" — „nie podoba".

A więc: utrafił poniekąd w mój gust wybór przekornej, kontrowersyjnej sztuki Handkego (Teatr „Nawias" z Wrocławia), która rozruszała „zwymyślaną publiczność" do tego stopnia, iż „prowokatorzy" nie bez trudu stawili czoło jej racom polemicznym. Z nie mniejszym zainteresowaniem śledziłam spektakl krakowskiego Teatru „Pleonasmus" pt. „Teatr pana Białoszewskiego", słowami wadze słów zaprzeczający. Natomiast nieco spłaszczony wydał mi się dowcip „Wypraw krzyżowych" w interpretacji krakowskiego Teatru Akademii Medycznej — przyznam się, że nie lubię „spojrzeń na historię ludzkości z góry i z ironiczną pobłażliwością".

Z kolei „Bajeczka" J. W. Paluchowskiego (Teatr „Sala 10" z Poznania) należała do inscenizacji najbardziej czytelnych i zrealizowanych środkami prostymi, może nawet zbyt ogranymi (przepierzenie oklejone gazetami). Nie mniej przejrzysty, a jednak bardziej kunsztowny był spektakl „Zwierzęta hrabiego Cagliostro" wg Andrzeja Bursy (druga pozycja krakowskiej AM). Nagminne wolty w „przekonaniach" politycznych wypadły tu z dosadną dobitnością.

Teatr „STEM" z Warszawy, niestety, oparł spektakl „Cztery twarze wolności" na skrajnie słabym tekście wierszowanym, „Szewców" zaś niepotrzebnie udziwnił do kwadratu. Nie odebrałam też z entuzjazmem „Koncertu" zasłużonego krakowskiego Teatru „38", ani rozkojarzonych wybrzydzeń „UNIBOSU", którymi popisał się ceniony przecie łódzki „Pstrąg". Co się tyczy „Przyrostu naturalnego" w opracowaniu częstochowskiego Teatru „Szkodagadać", no to perełki tekstów Różewicza zawsze robią swoje wrażenie, choćby je nie wiem jak porozsypywać i nanizać na opak.

Teatr KUL i „Grupę Ubogich" przepraszam za przemilczenie — po prostu nie widziałam ich spektakli: zaczynały się o północy, nie dałam rady.

„Gongowi 2" i Rozhinowi, zanim napiszę o „Każdym" — już wielkie brawa za organizację VI SWT!

Maria Bechczyc-Rudnicka

Kamena str. 10

moje **LEKTURY**

Powrót do źródła

DOBIEGŁA końca edycja „Kronik" Bolesława Prusa. Ukazywały się one od 1953 do 1970 r., stając się jednym z największych przedsięwzięć edytorskich w latach powojennych. Publicystyka, owo kronikarstwo, zabrało Prusowi trzydzieści kilka lat i najlepsze siły; nieraz te społeczne obowiązki przykrzyły mu się, chciał się pozbyć „parobczej roboty", ale nigdy nie mógł sobie na to całkowicie pozwolić. „Kroniki" zjednały Prusowi miano humorysty, ale był to humor swoistego rodzaju. Sam pisarz po latach przyznał, że koncepty i dowcipy miały stanowić tylko przynętę dla czytelników, by łatwiej strawili to, co było dla kronikarza istotne. Dzięki temu adres czytelniczy felietonów Prusa był bardzo szeroki. W jubileuszowej księdze „Kuriera Warszawskiego" pisano:

„Kroniki" przyszłego autora „Lalki" były przez lat jedenaście najpoczytniejszym działem „Kuriera". Rozchwytywała je ludność miejska, czytywała je również czeladź warsztatu, jak i pan majster, subiekci i pryncypał w sklepie, czytał bankier i arystokrata — wszystkich one zajmowały."

Popularność „Kronik" potwierdzały listy czytelników — otrzymał ich Prus kilka tysięcy! Ale jednocześnie — iluż przydawały mu one przeciwników! Wystarczy prześledzić historię polemik zawartą w „Kalendarzu życia i twórczości" Prusa, opracowanym przez K. Tokarzównę i S. Fitę. Z latami felietony pisarza zapadały się w roczniki czasopism, ulegały zapomnieniu i przestały oddziaływać. Za życia Prusa ukazał się tylko wybór małej części „Kronik", ale wiadomo, że do swojej publicystyki przywiązywał wielką wagę i zależało mu, aby były w obiegu społecznym. Był w nich bowiem Prus bystrym obserwatorem społeczeństwa, jego sędzią i diagnostą, niemal do znudzenia nawoływał, by życie jednostki i społeczeństwa poddawane było stale trzem najwyższym ideałom: użyteczności, doskonałości i szczęścia. Wspomniany „Kalendarz" poświęcony życiu i twórczości Prusa unaocznia, jak bardzo jego życie podporządkowane było obowiązkom dziennikarza i publicysty. Wynikało to z pojmowania swoich powinności. Oto urywek z programowej wypowiedzi pisarza:

Dzisiejszy felietonista także musi być wszędzie i wiedzieć o wszystkim. Musi zwiedzać nowo zabudowujące się place, ulice pozbawione chodników, tamy, mosty, targi wełniane i wołowe, muzea, teatry uczone psy, cyrkowe konie, posiedzenia różnych towarzystw akcyjnych, instytucje dobroczynne, jatki, łazienki itd. Musi czytywać i robić wyciągi ze wszystkich pism, sprawozdań, nowych książek, reklam, skarg i procesów. Musi być kawałeczkiem ekonomisty, kawałeczkiem astronoma, technika, pedagoga, prawnika itd.

Nie dziwi nas więc, gdy czytamy, że Prus zwiedzał wystawy żniwiarek, inwentarza żywego itp.; przerwał jednego roku wypoczynek w Nałęczowie, aby udać się do Mławy dla obejrzenia zaćmienia Słońca. Nie mielibyśmy bez tego wspaniałej sceny „Faraona". Nie ma sensu przeliczać czasu włożonego w pisanie na powieści, których Prus nie miał już czasu i sił stworzyć. Otrzymaliśmy bowiem dzieło kapitalne, zwierciadło epoki, świadectwo rozwoju myśli polskiej, przemian społecznych, prawdziwą historię społeczeństwa, a także i może w szczególności — Warszawy. Oczywiście nie wszystko, co zawarło się w dwudziestu tomach, pozostało do dziś żywe. Zwietrzała wartość politycznych rozważań Prusa, zobojętniało nam wiele realiów, które dla niego stanowiły punkt wyjścia. Toteż „Kroniki" jako całość pozostaną nadal w kręgu zainteresowań specjalistów, a do obiegu społecznego będą wchodzić pośrednio.

A może warto ten ogromny zasób myśli Prusa, jego refleksji i obserwacji udostępnić i upowszechnić? Wyobrażam sobie jednotomowy wybór z „Kronik", zawierający fragmenty żywe i aktualne, bardzo zbieżne z kierunkiem, w jakim teraz zmierzamy. Zobaczylibyśmy w Prusie nie tylko poczciwego „dziadzia Głowackiego", ale umysł bardzo nowoczesny i oczy — przy krótkowidztwie fizycznym — bardzo daleko patrzące.

W „Kronikach" pisarz głosi nieustannie kult pracy. *Wierzyć się nie chce* — pisze — *ile w naszym kraju istnieje prac albo nie wykończonych, albo wcale nie rozpoczynanych, które gdyby zostały wykonane, w nieobliczalnym stopniu powiększyłyby ogólny dobrobyt.* A niekiedy chodziło o sprawy drobne, ale właśnie drobiazgi składają się na większe całości. Przeciwstawiał zrywom i chwilowym zapałom systematyczność i planowość, polemizował z postawami „knajpowo-ogródkowo-totalizatorowymi", nawoływał do rozsądku i rozwagi, zalecał uczyć się wszędzie, nawet u swoich przeciwników. Ciekawe są uwagi Prusa na temat „nasi za granicą". Co tam np. robi student? Wyjeżdża na studia, *a zamiast na kursa idzie z rana na bilard, w południe na śniadanie czy obiad, po południu na piwo lub kawę... W taki sposób przepędza dnie, tygodnie, semestry i wraca do kraju, nawet nie nauczywszy się języka narodu, wśród którego mieszkał i niemało wydał pieniędzy, jeżeli nie zaciągnął długów.* A oto uwagi o ówczesnych „turystach", którzy jadą za granicę *dla rozrywki albo „na kurację" do znakomitości lekarskich, jak gdybyśmy w kraju, a szczególnie w Warszawie, nie posiadali bardzo, ale to bardzo znakomitych lekarzy... Ta warstwa najwięcej marnuje pieniędzy po hotelach, niekiedy w domach gry i absolutnie nic do kraju nie przywozi, chyba... modne ubranie albo choroby.*

Prus nieustannie wskazywał na konieczność przyswojenia sobie przez Polaków cech, którymi dotychczas pogardzano. Sprzeciwiał się kultowi poezji i poetów, tym bardziej że zapomina się *o rolnikach, technikach, przemysłowcach, uczonych, nauczycielach i wszelkiego rodzaju działaczach, dzięki którym naród istnieje i choć powoli, lecz posuwa się naprzód.*

Wróćmy na koniec do owych dwudziestu tomów „Kronik". Ich wartość podnoszą przypisy i komentarze, które często objętością dorównują tekstowi Prusa. Ale to nie pedanteria wydawcy, prof. Zygmunta Szweykowskiego. Materiał tam zawarty stanowi niezwykle cenny, miejscami pasjonujący załącznik do publicystyki Prusa. Umożliwia pełne zrozumienie tekstu pisarza, przywołuje tę sytuację, w której znajdował się dawny czytelnik „Kronik", kiedy były one składnikiem życia umysłowego tamtego czasu. Laury za przywrócenie publicystyki Prusa naszej współczesności dzieli także niestrudzony wydawca dzieł autora „Faraona" — Państwowy Instytut Wydawniczy, który dobrze zasłużył się sprawie Prusa.

Tadeusz Kłak

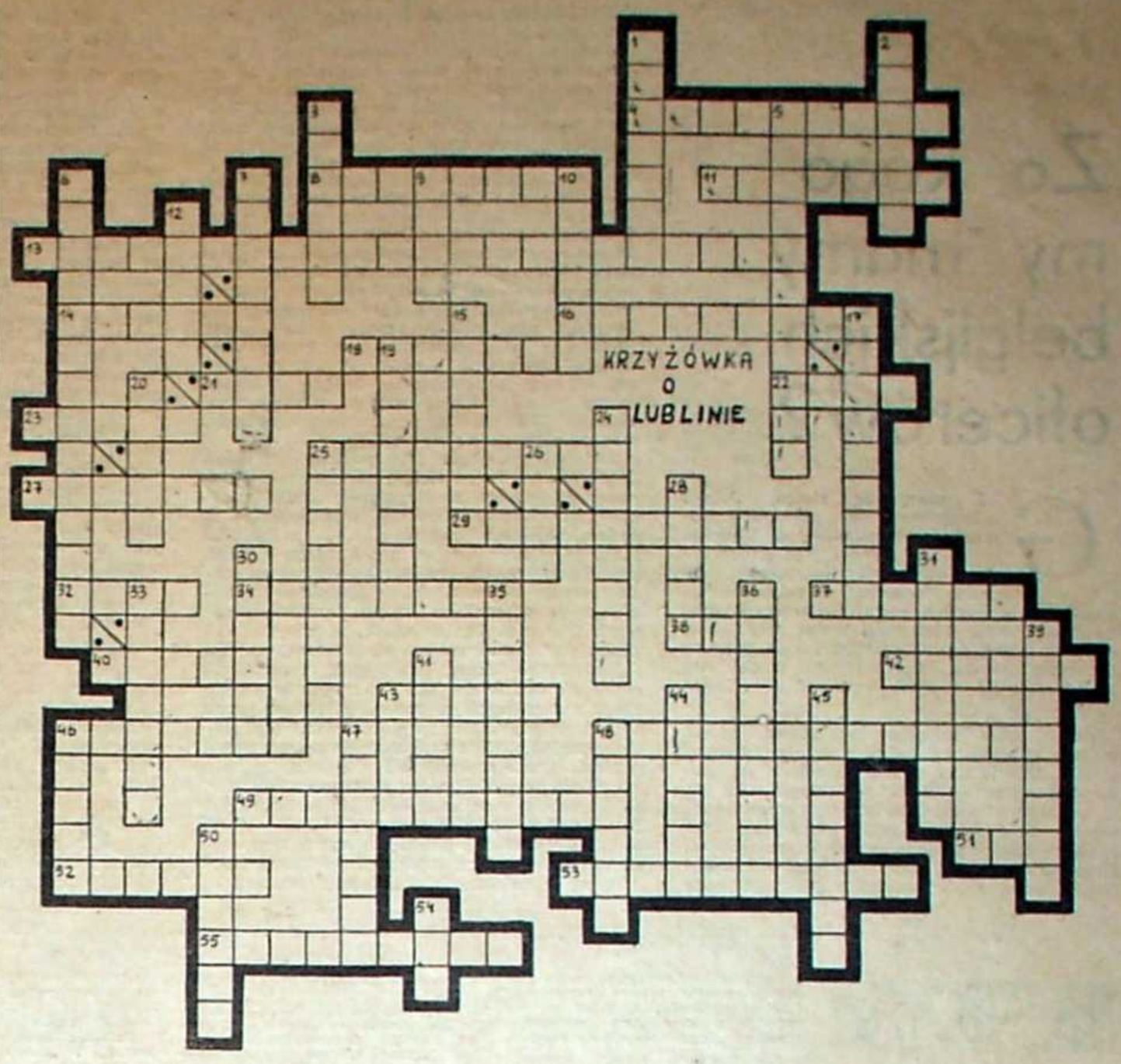

Krzyżówka nr 12

POZIOMO:

4, 25, 27 i 42 — dzielnice, 18, 29, 48 i 52 — kina, 11, 14 i 37 — restauracje, 21, 32, 46 i 55 — dziennikarze, 13 i 16 — ulice, 8 i 22 — sportowcy, 23 fotoreporter, 34 — b. obóz koncentracyjny, 38 — dawny skrót przed 36 pionowo, 43 — dyrektor FSC, 51 — samochód z FSC, 55 — aktorka.

PIONOWO:

1, 5, 9, 15, 19, 36, 44 i 54 — dzielnice, 23 i 26 — kina, 33 39 i 47 — restauracje, 7, 28, 30 i 31 — dziennikarze, 24 — założyciel „Kameny", 20, 45 i 50 — literaci, 2 — siedziba władz miejskich, 3 — przewodniczący Prezydium WRN, 6 — gazeta, 10 — dwutygodnik, 12 — klub sportowy, 17 — fotoreporter, 35 — sportowiec, 41 — reżyser teatralny, 44 — przewodniczący Prezydium MRN, 46 — przewodniczący Zarządu Oddziału ZBoWiD.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 10

POZIOMO:

Rolland, Mauriac, Arno, Aniela, miano, mila, Adam, okup, uzda, sęp, Tampere, Andersen, rok szal, gbur, STS, Warszawa, alumnat, pot, meta, echo, Egon, szyk, Tabor, zdanie, agar, antymon, eskadra.

PIONOWO:

Reymont, lina, Daladier, Mommsen, runo, Chaplin, rada, album, okrasa, ule, pies, alga, Prus, akt, Rzym, Elba, osa, Brecht, rzep, Salendre, Wenecja, weteran, Ufa, nosze, trakcja, Moza, oazy, siła.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 10 nagrody wylosowali: Tadeusz Abratowski, Gorlice 5, ul. Michalusa 9, woj. rzeszowskie; Teresa Bielecka, Kraków, ul. Rakowicka 3 m. 4; Czesław Karczmarczyk, Lublin, ul. Bol. Śmiałego 5 m. 38; Stanisława Widz, Kraśnik Lubelski, ul. Świerczewskiego 2;

Dramat pedagogów

Dokończenie ze str. 7

niektórymi udawano się do mieszkań celem dokonania rewizji. Do domu m. in. przywieziono Tadeusza Moniewskiego i dokonano tam szczegółowej rewizji. Dowodów obciążających wprawdzie nie znaleziono, zastano natomiast Tadeusza Krajewskiego, nauczyciela gimnastyki, został on więc również aresztowany.

Tego dnia gestapowcy podczas trwania lekcji zjawili się również w szkole powszechnej nr 16 przy ul. Długiej. Oświadczyli, że mężczyźni nie będą w tym dniu mieć lekcji, ponieważ odbędzie się konferencja, w której obowiązkowo powinni wziąć udział. W kancelarii zebrano mężczyzn uczących w szkole nr 15 i nr 16. Kierownik szkoły nr 16 Władysław Sakławski był na miejscu, kierownika szkoły nr 15 Ludwika Grabowskiego jeszcze nie było, udano się więc do jego mieszkania. Wszyscy zebrani zostali aresztowani i odprowadzeni na Zamek.

Cele więzienne na Zamku zostały wypełnione do maksimum, z każdą godziną wprowadzano nowych więźniów. Wśród nich znaczny odsetek stanowili nauczyciele. Tylko w celi 17 na IV oddziale na 25 osób było 7 nauczycieli, a to: Józef Górny, Ludwik Grabowski, Antoni Kozłowski, Wincenty Kmieć, Wiktor Misiaczek, Tomasz Morawski, Władysław Sakławski. Wszyscy zostali poddani uciążliwym przesłuchaniom. Ponieważ nie zdołano im udowodnić żadnych zarzutów — po kilku miesiącach (głównie marzec — kwiecień 1940 r.) zaczęto ich stopniowo zwalniać.

Kolejnym aktem wymierzonym przeciwko inteligencji Lublina był pierwszy masowy mord, dokonany 23 grudnia 1939 r. Nocą wybrano spośród znajdujących się na Zamku więźniów, bez sądu i wyroku, 10 osób zaprowadzono na stary cmentarz żydowski przy ulicy Kalinowszczyzna i Sienna. Tam wszyscy zostali rozstrzelani. Wśród rozstrzelanych znaleźli się m. in. ks. Michał Niechaj — profesor seminarium duchownego i wykładowca KUL, Czesław Martyniak — zastępca profesora filozofii na KUL, Tadeusz Moniewski — dyr. Liceum i Gimnazjum im. Stanisława Staszica, Antoni Krzyżanowski — dyr. Liceum i Gimnazjum W. Arciszowej.

Aresztowania podczas okupacji hitlerowskiej były zjawiskiem codziennym i groziły każdemu. Z upływem lat terror wzmagał się, narastała brutalność. Ale masowe aresztowanie inteligencji, a w tym i nauczycielstwa, przeprowadzone w dniach 9 i 13 listopada 1939 r., jak i pierwszy zbiorowy mord dokonany 23 grudnia 1939 r., były szczególnie silnym wstrząsem dla społeczeństwa Lublina. To był dopiero początek okupacji, a społeczeństwo takich aktów brutalności i barbarzyństwa jeszcze nie znało. Przyszłość pokazała, że okupant zdobył się na jeszcze większe zbrodnie.

Jerzy Doroszewski

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał WIKTOR MUDA.

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 233-63, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-38

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresową — pod adresem redakcji.

L.Z.Graf. Zam. 1394. 19.V.71. 9.903. A-5

Listy do KAMENY

Przeciw matematyce?

W „Tele-Echu" z 9 maja oglądaliśmy sympatyczną parę laureatów olimpiady z języka polskiego, która bardzo niesympatycznie tłumaczyła się, że nie umie i nie cierpi matematyki. Z ironią wtórowała im p. Dziedzic. Skąd się bierze u humanistów ta poza na debila, czyżby byli aż tak ograniczeni? Niech się nie chwalą swoją impotencją, bo nie wypada chwalić się kalectwem. Mówiąc serio: pewien poziom inteligencji wymaga przebrnięcia przez pozornie zawiłe trudności matematyki, w przeciwnym razie nie ma się tej inteligencji. I humanistom przydałoby się więcej rygorów w myśleniu, byłoby mniej ględzenia.

R. B.
Annopol
(Nazwisko znane redakcji)

Koszty nonsensów

Kliki" opisane przez Krystynę Daszkiewicz w jej książce pt „Klimaty bezprawia" (KiW 1971 r.), przynoszą naszej gospodarce kolosalne szkody. Jedną z takich klik wykryto ostatnio przy tworzeniu katalogów norm i cenników budownictwa. O niej właśnie napisał D. Pisarski w nr. 14 „Przeglądu Technicznego" w artykule pt. „2748 cen za wykopanie 1 m sześć. ziemi". Ciągłe nowelizacje tych katalogów i cenników przez ścisłe grono osób za... 28 mln zł i to co 5 lat — to zakrawa chyba na aferę! (...) Proszę, piszcie i mówcie o tej strasznej buchalterii cenowej, o tych potężnych sztabach bezproduktywnych inżynierów i techników. Krytykujcie ilość i jakość cenników, rozdrobnienie nośników cen i filozoficzną wprost metodę ustalania kosztów naszego budownictwa. Do „filozofii" cen budownictwa angażujemy kilka tysięcy inżynierów. Jest to szczególnie niewłaściwe wobec braku tychże na naszych budowach. Proszę, zwróćcie naszemu społeczeństwu uwagę, ilu to ludzi w biurach projektów znosi arcypomysły autorów w nieczytelnych i rozdmuchanych cennikach i zasadach cenowych... Pokażcie, że w przedsiębiorstwie budowlanym (w każdym) utrzymuje się sztab tzw. kalkulatorów sprawdzających i kwestionujących kosztorysy. W biurze projektowym, u inwestorów i w przedsiębiorstwie zajmują się tym inżynierowie i technicy budowlani.

(...) Podkreślcie, że te same roboty wymieniane są aż w kilkunastu cennikach — po co i dlaczego?

S. Zieliński
Warszawa

Pałac czy rudera?

Uprzejmie zwracam uwagę redakcji na publikację, która ukazała się w kwartalniku Stowarzyszenia Historyków Sztuki, dotyczy zaś zabytkowego pałacyku w Łabuńkach koło Zamościa. W klasycystycznym pałacyku — pisze autor publikacji — mieści się obecnie szkoła podstawowa, której kierownictwo z oczywistych względów nie jest w stanie odpowiednio dbać o zabytkowy obiekt, wymagający specjalistycznej opieki i sporych kosztów na konserwację. Lada rok pałacyk — podobno o wysokiej wartości historyczno-artystycznej — ulegnie całkowitemu zniszczeniu, jeśli nie przystąpi się do natychmiastowej akcji ratunkowej.

„Kamena" wielokrotnie pisała o sprawach związanych ze stanem i ochroną zabytków w kraju, sądzę więc, że pałac w Łabuńkach doczeka się uważnego spojrzenia kogoś z redakcji. Prawdę mówiąc dobrze by było, gdyby „Kamena" doprowadziła do kolejnej na swoich łamach dyskusji nad ochroną zabytków na Lubelszczyźnie. O ile pamiętam, trzy lata temu publikowaliście w kilku numerach wypowiedzi wybitnych specjalistów na wiadomy temat. W tej chwili sytuacja dojrzała — poza Łabuńkami mamy jeszcze sprawę Gardzienic — do publicznej dyskusji.

Jerzy Wróblewski
Lublin

* * *

Zgłosiłem szereg wierszy do druku do czasopisma „Kamena". Bardzo proszę o spowodowanie ich druku w tym czasopiśmie. Jednocześnie zgłaszam chęć zapoznania mieszkańców Lublina i okolic ze swoją twórczością literacką. Będę miał dwa, ewentualnie trzy tomiki poezji oraz jedną powieść. Zapoznanie nastąpi od września 1971 roku, zgodnie z wyznaczonymi terminami przez Wydział Oświaty w Lublinie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Mistrz ślusarstwa samochodowego
Ząbkowice Śląskie
(Nazwisko znane redakcji)

P. S. Wysyłam do Wydawnictwa tomik o nazwie „Różane Kwiaty" do druku. Proszę spowodować druk.

Od redakcji: Adresatem tego listu był „Wydział Oświaty w Lublinie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej", więc przesyłka dotarła do Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, które skierowało ją do redakcji — bez listu przewodniego.

z bocznej trybuny

Za kogo my mamy belgijskich oficerów?

GDY piszę te słowa, Polska entuzjazmuje się sukcesami naszych reprezentantów w Wyścigu Pokoju. Liderem był Czechowski, teraz jest Szurkowski. W prasie fachowej, a także w rubrykach sportowych pism codziennych oraz na falach radia i telewizji brzmi nieustanne, radosne hurra. Górą nasi! Do końca imprezy pozostało jeszcze kilka etapów. Czeka nas zapewne wiele nowych wzruszeń i niejeden zgrzyt.

Trzeba sobie bowiem powiedzieć, że ta piękna impreza ma także i swoje ujemne strony. Oto jeszcze przed zawodami na trasie Warszawa — Berlin — Praga nasi reprezentanci startowali w wyścigu wieloetapowym w Belgii. Po czwartym etapie cała drużyna została wycofana przez kierownictwo. Podobno wymagały tego względy szkoleniowe; podobno z góry zakładano, że być może trzeba będzie w połowie zrezygnować z dalszej jazdy.

Było to wysoce niesportowe stanowisko. Oczywiście mamy wiele przykładów, że reprezentant tego lub owego państwa po paru dniach Wyścigu Pokoju nie wytrzymuje tempa i wycofuje się, a po tygodniu, gdy nasze zawody jeszcze trwają, on startuje już na drugim końcu Europy. To jednak inna sprawa, dopuszczalna, a inna zaplanowanie tego uprzednio. Już lepiej było nie brać zupełnie udziału w wyścigu belgijskim, a jeśli przygotowania do Wyścigu Pokoju wymagały jakiegoś sprawdzianu bojowego, należało wysłać naszą drużynę na inne zawody trwające krócej. Wycofanie się w Belgii nie było grzeczne wobec gospodarzy i nie było koleżeńskie wobec tych zawodników, którzy jechali nadal. Pedałujcie sobie, patałachy, my mamy ważniejsze sprawy na głowie?! A jak czulibyśmy się my, organizatorzy, kolarze i kibice, gdyby któraś drużyna podczas Wyścigu Pokoju nie taiła, że ma wyższe cele i po kilku etapach wypięła się na nas?

Zadziwiająca była też sprawa Van den Lindena. Świetnego Belga, wicelidera, wykluczono z wyścigu za używanie środków dopingujących. Jak wiadomo, wykrywa się je podczas badania moczu, które przechodzi kilku pierwszych na mecie każdego etapu oraz kilku innych, wylosowanych już w czasie trwania etapu. A potem ogłoszono wyjaśnienie, że używał on kropli przeciwkatarowych i w nich był składnik, uznany za dopingujący i zabroniony do stosowania. Tu już nie tylko lekarz, lecz zwykły śmiertelnik śmiać się będzie do rozpuku z tych kropli do nosa, znalezionych w moczu. I znów prasa przyniosła dyskretne wyjaśnienie: Belg służy w wojsku, takie wykluczenie za używanie dopingu może mu narobić kłopotu, trzeba więc było wypadek nieco stonować. Panowie, za kogo my uważamy belgijskich oficerów? Bez żadnych dodatkowych wyjaśnień podano za to komunikat o usunięciu zawodnika węgierskiego — też za doping. Czy kolarzy dzielimy na „dewizowych" i „ideologicznych"?

Nie był też chyba fortunnością wywiad Henryka Łasaka (zresztą ongi jednego z naszych najmilszych kolarzy, a dziś świetnego trenera), udzielony prasie po wdzianiu żółtej koszulki przez Czechowskiego. Trener wyraził swe zadowolenie, że najpierw przodownikiem został Czechowski, gdyż w jego cieniu Szurkowskiemu łatwiej będzie szykować się do ostatecznego skoku po zwycięstwo w całym wyścigu. Pan Łasak udowodnił już nieraz, iż kierowana przezeń drużyna walczy i zwycięża ściśle według pewnych planów. Być może w tym wypadku uznał Szurkowskiego za bardziej prawdopodobnego kandydata do ostatecznego triumfu. Lecz sport to nie produkcja wykałaczek. Każda drużyna ma swoje plany i każdy stara się pokrzyżować zamiary innych. W danej chwili Czechowski był liderem, czyli był najlepszy w drużynie. Należało chyba na nim oprzeć główne nadzieje biało-czerwonych, a Szurkowskiego typować jako drugiego kandydata do ewentualnego zwycięstwa. Idea kolarskich „woziwodów", którzy oddają lepszym w klasyfikacji indywidualnej kolegom rowery i żywność oraz czekają na nich w razie defektu, by pomóc im dociągnąć się do czołówki, uważana była w Polsce przez długi czas za dowód degeneracji moralnej sportu zawodowego. Dziś wiemy, że niesłusznie i realizujemy ją u siebie. Zresztą regulamin jest tak ułożony, że zmusza drużynę do specjalnej troski o aktualnie najlepszych.

Wszyscy mają równe szanse być asami w drużynie i być woziwodami. Już po pierwszym etapie wiadomo, którzy są najlepsi i będą walczyć o miejsce, a którzy im w tym służyć. I w każdej chwili asowi może zdarzyć się, że straci kilka minut, spadnie na odległą pozycję, bez żadnych szans i dalej już będzie tylko woziwodą. Jednakże typowanie na zwycięzcę trzeciego na liście, gdy na tejże liście pierwszy to też nasz reprezentant, było nietaktem. Przy czym Czechowski to przecież także znakomity kolarz. Wątpię, czy gdyby słowa trenera przeczytał Szurkowski, uznany przez UNESCO za światowego dżentelmena sportu w roku 1971, byłby zadowolony.

I nie wiem, czy byliby w ogóle zadowoleni wszyscy nasi zawodnicy z tego, co pisała prasa, donosiło radio i telewizja o Wyścigu w dniach wyścigu. Polakom poświęcono znacznie więcej miejsca niż reprezentantom innych drużyn. Nawet w tych dniach, gdy tamci mieli większe sukcesy. Tu nie może być wytłumaczenia, że to przecież nasi. Tak tłumaczyć może się tylko szowinista. Kolarstwo wieloetapowe to piękny sport, wymagający męstwa i hartu. Wyścig Pokoju ma szczególnie dobrą opinię; rodzą się w nim nie tylko wartościowe wyniki sportowe, ale także trwałe przyjaźnie pomiędzy reprezentantami różnych państw. W tym wyścigu wszyscy są nasi: jedni to nasi zawodnicy, inni to nasi goście. Gościnność zobowiązuje. Polscy kibice odczuwali jako niedosyt brak wywiadów np. z Włochem Ongarato, pierwszym przodownikiem, w momencie, gdy spadł na dalszą pozycję. Odczuwali np. brak informacji jakiego rodzaju kontuzję odniósł Peschel i jaki jest stan jego zdrowia. A także dlaczego nie przyjechał na Wyścig nasz stary znajomy Sajdhużin? Wycofał się ze sportu, czy nie jest już w reprezentacyjnej formie? I jak się czują ci, którzy jadą na końcu, walczą, by nie być ostatni, lecz przedostatni? Niegdyś częstowano nas tymi deserami obficiej, serwowano informacje o tym, jak Hindusi, przyjeżdżający na metę w dwie godziny po innych, po drodze wpadli na pół czarnej do przydrożnej kawiarenki. Nasi sprawozdawcy, obsługujący imprezę, zapewnie mają wiele ciekawych obserwacji. Niestety, ich interesują tylko wygrywający, zwłaszcza wtedy, gdy to jest Polak. Lecz w tym wyścigu jest jeszcze kilka innych nie mniej ważnych spraw.

Na szczęście ostatecznie Szurkowski był pierwszy, Czechowski drugi, drużyna nasza zaś też zajęła drugie miejsce.

R. W.

MINUTA MYŚLENIA

Słowa określenia terminy...

BLISKI związek zachodzący między słowem a myślą dokumentuje również etymologia. Logos to słowo, a logika to nauka o myśleniu. Związek ten każe dalej zauważyć, że sama czynność nazywania, a więc posługiwania się terminem, nie jest biernym odruchem na widzianą rzeczywistość, ale posiada pierwiastek intelektualny. Nic dziwnego. Nazwać to wyodrębnić, a do tego potrzebne jest stwierdzenie inności zauważonego faktu czy zjawiska w stosunku do swego otoczenia, to również scharakteryzować, a więc dokonać niejako analizy cech, co wszystko razem wzięte stawia nazywanie blisko myślenia, a więc usprawiedliwia owe dwa znaczenia terminu „logos" — słowo i myśl.

Jakże często jednak przeczy temu słownictwo krytyki literackiej. Tego zajęcia, gdzie oryginalność w użytkowaniu słowa, a przynajmniej dążność do odejścia od zrutynizowanych i gromadnych sposobów jego użytkowania, powinna znajdować się na pierwszym planie. Jeśli nie dla precyzji krytycznego języka, to dla trafności ocen, jako że dotyczą zjawisk, utworów, autorów — przynajmniej w założeniu — zindywidualizowanych.

Tymczasem język krytyki literackiej wykazuje tak upartą predylekcję do pewnych skostniałych terminów, jakby objęte nimi stany rzeczy od lat nie ulegały zmianie, jakby ich użytkownicy nie dostrzegali, że popełniają plagiat, a na odwrót: za każdym razem doznawali euforii jakże niezwykłego odkrycia. Tak jest np. ze słowem „mit", które recenzję literacką nawiedza od lat dwudziestych. W dodatku — im recenzja bardziej parweniuszowska, im mniej mówiąca, tym intensywniej czepia się owego „mitu" jakby w przekonaniu, że jeden do płaskości zużyty termin, po prostu liczman pojęciowy, jest w stanie skompensować wszelkie braki rozumowania, wszelkie niedostatki krytycznego stanowiska. Chcesz osiągnąć stopień intelektualnej nobilitacji? „Mit" ci to załatwi. Jak proszek „Ixi" czystość kołnierzyka koszuli non iron.

Owszem, sam termin rzeczywiście brzmi oryginalnie, posiada rozległe skojarzenia kulturowe: nader trafnie jednosylabowym wyrazem ujmuje specyfikę zjawiska, którego dotyczy. Tylko obrośnięty takim narostem bezmyślnej perseweracji już dziś niczego nie wyraża. Żywotność natomiast — dzięki krytycznym niewypierzeńcom, którzy dopiero wychylają dzióbki na świat — posiada niebywałą. W każdym pierwszym szczebiocie wymierzającym sprawiedliwość widzianemu światu literatury „mit" jest nutą obowiązkową.

Jak kiedyś „zbitka". Ileż inwencji wkładano w każdorazowe jej użycie. Czytałeś artykuł i miałeś przeświadczenie, że jego autor siebie uważa za rewelatora nowego terminu. Jak w wierszu Gałczyńskiego o Ciemnogrodzie, gdzie „grali w Hamlecie ci sami Hamleci", i „Być albo nie być wołali chórem". Ta „zbitka" była odbitką, ale każdorazowo stosowaną z taką pasją, jakby była oryginalnym odkryciem każdego z krytyków.

Utrzymała się natomiast „propozycja". Jakże musimy upiększać to, co się pisze. Pisze się recenzje i pisze się artykuły. Ale cóż to za banalne określenia! Jakie pozbawione pokrzu intelektualnego! Co innego „propozycja". Proszę, jak inaczej to brzmi: „Propozycje krytyczne Szamocińskiego podejmują próbę interpretacji..." Quelle distinction! Ileż taktu i domyślnej kultury. Salonowy żargonik sam przez się wystarcza do tego, by „ciekawą" i „interesującą" uczynić każdą przeciętność.

Ostatnio mamy modę na „realizację". „Realizację poetycką". Oczywiście nie może być nią nic innego, niż wiersz, ale powiedzieć „wiersz"? Cóż to za brak perspektywy, kultury, dystynkcji, horyzontu, drugiego dna i czwartego wymiaru! Realizacja, tylko realizacja! Wystarczy „oryginalny" kiks terminologiczny u kogoś, kto chce „sproblematyzować", a z łamów pism literackich znikają wiersze, natomiast pojawia się szarańcza realizacji. W ten sposób o ileż ciekawsze staje się „ujęcie" krytyczne! Tylko czekać, kiedy krytyka literacka jeśli chodzi o czytelność stanie się czymś w rodzaju współczesnej poezji.

Ijon

P. S. Na jednym ze słupów ogłoszeń ku mojemu osłupieniu ujrzałem afisz zawiadamiający o tym, że się odbędzie „Sesja Petrażycjana". Przy takiej inwencji w latynizowaniu zachodzi pytanie, dlaczego autorzy resztę wyrazów afisza pozostawili w języku polskim? Z powodzeniem przecież można: „Kołum Prawnikorum Studentorum UMCS zawiadamia" itd. Dodajmy, że w powyższym wyraziła się osobliwa tendencja: wyraz „sesja", który ma łaciński odpowiednik, został w języku polskim, natomiast przymiotnik od nazwiska Petrażyckiego (językowi Cycerona nie znany) gwałtem „przeciągnięto" na łacinę!

FELIETON Z REZERWY

Czyżby zadufanie?

SWEGO czasu do nomenklatury urzędowej wprowadzono pojęcie ekonomisty zamiast tytułu referenta. Być może w ten sposób chciano dać satysfakcję ludziom, którzy dotąd byli obowiązani tylko referować innym, kierownikom i dyrektorom, a odtąd powinni także liczyć, a rozumiejąc szerzej — myśleć. Zabieg okazał się o tyle skuteczny, że teraz mamy w każdym przedsiębiorstwie ekonomistów bez liku. Nie jest ważny dyplom wyższej uczelni, matura czy chociażby świadectwo ukończenia szkoły podstawowej. Nie istnieje tytuł np. magistra ekonomii działu zaopatrzenia, a po prostu ekonomisty działu zaopatrzenia. Czasem starszego ekonomisty — co nie ma nic wspólnego z wiekiem.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby ci, którzy nagle stali się ekonomistami, chociaż od czasu do czasu podkształcili się nieco w tej ekonomii. Ale niby dlaczego mają to robić, jeżeli ekonomistami formalnie już są? Więc jeżeli czytelników zdziwią dwa podane niżej przykłady, muszę wyznać, że mnie one nie dziwią. Są bowiem konsekwencją pochopnej decyzji. A że niepokojące — to inna sprawa.

W dyrekcji lubelskiego Ruchu policzono, że w całym naszym województwie sprzedaje się — łącznie z prenumeratą pocztową — około 2200 egzemplarzy (jednorazowego nakładu) czasopism ekonomicznych, tygodników i miesięczników. Statystyka niestety, nie mówi, ile z nich kupuje się tylko dlatego, że wypada je mieć. Równocześnie okazuje się, że nasze przedsiębiorstwa przemysłowe na prenumeratę pism ekonomicznych wydają dwa razy mniej niż na prenumeratę tzw. prasy kolorowej, a więc raczej rozrywkowej. Można chyba sugerować, że wydawanie pieniędzy państwowych nie jest w tej dziedzinie prawidłowe...

Taka np. cementownia w Rejowcu nie prenumeruje ani jednego czasopisma ekonomicznego, w kiosku także nikt nie kupuje, bo w tymże Rejowcu jest to towar zupełnie niechodliwy. Fermentownia w Krasnymstawie może poszczycić się jednym egzemplarzem, w powiecie hrubieszowskim na tysiąc zatrudnionych w przemyśle przypada wszystkiego sześć egzemplarzy.

A teraz inny przykład. W zeszłym tygodniu lubelski oddział Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa zorganizował konferencję naukową pt. „Organizacja pracy i zarządzania wydziałem produkcyjnym". Rzecz dla ekonomistów i inżynierów. Zgłosiło się 650 osób, wskutek czego konferencję trzeba było powtórzyć. Pięknie.

Rzecz tylko w tym, że wśród 266 dyrektorów przedsiębiorstw i ich zastępców nie było ani jednego z Lubelszczyzny. Z samego Lublina zjawiło się tylko 11 osób z 5 przedsiębiorstw, z województwa 13. Nikogo z Fabryki Samochodów Ciężarowych, nikogo z KFWM, nikogo z Edy. Świdnicka WSK początkowo zgłosiła kilka osób, ale potem wycofała się, ponieważ nie znaleziono rzekomo podstawy prawnej, aby za uczestnictwo w sesji zapłacić po 410 zł od osoby. Dziwne tylko, że około 150 przedsiębiorstw w Polsce, nie wyłączając warszawskiej WSK, takie podstawy znalazło.

Ta konferencja naukowa była przeznaczona dla inżynierów, aby nauczyli się czegoś z ekonomii, dla ekonomistów — by zorientowali się lepiej w zagadnieniach technicznych, a wszyscy razem by dokształcili się w zagadnieniach organizacyjnych. Wykładowcami byli naukowcy z uczelni lubelskich, warszawskich i krakowskich oraz centralnych instytutów specjalistycznych. Czyżby lubelscy dyrektorzy i kierownicy uważali, że już nic się nie mogą nauczyć, bo wszystko wiedzą?

Niebezpieczne jest takie mniemanie o samym sobie i swoich podwładnych.

BUR

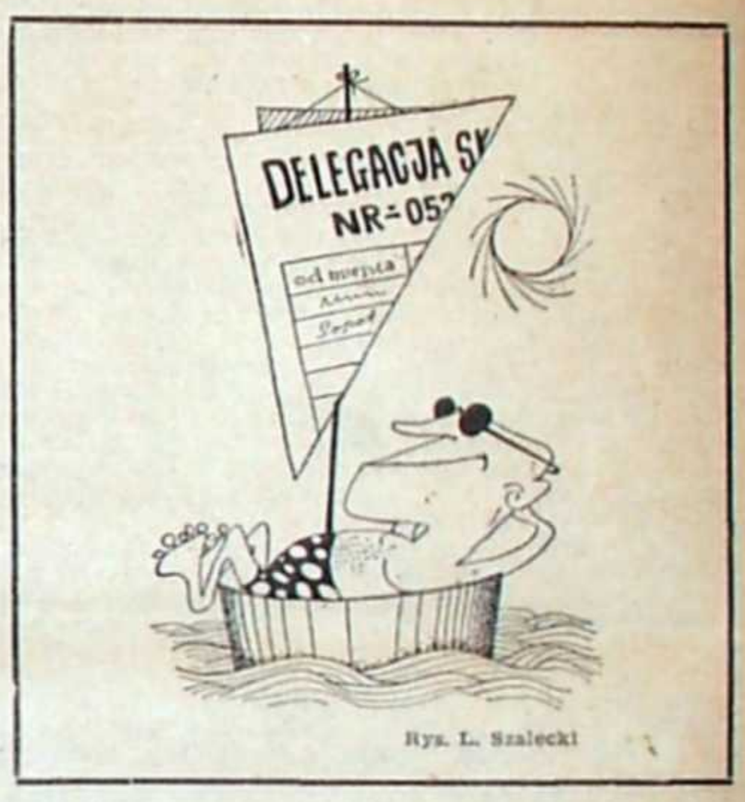

Rys. L. Szalecki

NOTY i notki

Dokładnie w tym miejscu, gdzie we wrześniu 1939 roku zginął Józef Czechowicz, mamy rzekomo plac jego imienia oraz pomnik poety. Pomnik stoi rzeczywiście, ale prac istnieje rzekomo. To znaczy w ogóle jest, tyle że z jednej strony wisi tabliczka z napisem „Pl. Józefa Czechowicza", natomiast po przeciwnej stronie tabliczka głosi „Pl. Tadeusza Kościuszki". Z trzeciej strony — na wszelki wypadek — nie umieszczono żadnej tabliczki.

Prawdziwą ucztę mieli telewidzowie 20 maja: Melchior Wańkowicz mówił — wspaniale i wzruszająco — o bitwie pod Monte Cassino. Kilka dni wcześniej uczestniczyłem w rozmowie, podczas której Wańkowicz wyznał: audycja miała trwać 45 minut, po kwadransie nagrywania reżyser Passendorfer dał mi czas nieograniczony, mówiłem 3 godziny z kawałkiem. Telewidzowie słuchali równo godzinę. Myślę, że telewizja pokaże nam kiedyś owe dwie brakujące godziny z kawałkiem.

Krakowski miesięcznik „Student" ma na ostatniej stronie wydzielony organ „Kurier Akademicki", coś w rodzaju organu Malcharka we „Współczesności". W nr 5 jest więc goła dziewczyna, jest rysunek z pięciu pół-gołymi dziewczętami, jest wreszcie notatka pt. „W rytmie tango milonga". W tejże notatce niejaki (pik) powtarza wiadomość o tym, że studenci KUL-u przekazali na odbudowę Zamku w Warszawie 280 zł, zebrane podczas walca kotylionowego na balu karnawałowym. Niejaki (pik) opatruje to takim komentarzem: „Mimo iż karnawał już się skończył, pracownicy UCHA (czyli redakcji „Kuriera Akademickiego" — przyp. JOD) zdecydowali się w lokalu Agencji zorganizować zabawę taneczną, aby w rytmie „Tango-milonga" zbierać datki na Zamek. Są szanse na przelicytowanie kolegów z KUL-u, gdyż premie z ostatnich donosów (czyli dostarczanych informacji — przyp. JOD) są wcale pokaźne"... Brzydko, bardzo brzydko się bawicie młodzi koledzy. Trzeba by was mocno pociągnąć za UCHO i za uszy.

Wtajemniczeni a zasobni w gotówkę mężczyźni wiedzą, że jedynym miejscem w Warszawie, gdzie można (legalnie i oficjalnie) zobaczyć strip-tease, jest restauracja „Kongresowa". Dopominając się o prawdziwą „Warsaw by night", Stefan Drabarek („Kurier Polski" nr 113) westchnął z niezadowoleniem: „Jest to jedynie namiastka tego, co Warszawa mieć powinna". Hm, co w takim razie mieć powinna: paryski plac Pigalle, londyńskie Soho czy hamburską dzielnicę portową?

W lubelskich kinach wyświetla się filmik reklamowy, zachęcający do kupna rowerów. Akurat na czasie. Rzecz w tym, że jeżdżący proponowanymi do kupna rowerami co chwilę łamią przepisy kodeksu drogowego, tak samo zresztą jak kierowca starowieckiej „Skody".

Inne dziwadło reklamowe to twór, spreparowany przez Krakowskie Zakłady Betoniarskie i Żelbetowe, które w kilku pismach zamieściły wielkie ogłoszenia, w których proponują do sprzedaży jednostkom uspołecznionym lub odbiorcom indywidualnym „niechodliwe prefabrykaty mieszkaniowe". Nasze sklepy też od czasu do czasu sprzedają różne niechodliwe artykuły, ale nigdy jeszcze się nie reklamowały: sprzedajmy buble.

„Jeśli człowiek pożyje siedemdziesiąt lat — to spożyje przez ten czas około 100 ton przeróżnego jadła" — twierdzi „Dookoła świata" (nr 21). Bez obaw, nie pożyje, konsumując dziennie 1,5 kg jadła, nie licząc picia.

Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy Andrzej Brychl pojechał z wieczorem autorskim do miasta powiatowego Ł. W czasie przerwy poszedł do ubikacji i przeraził się panującym tam stanem sanitarnym. Uniesiony więc ambicją podnoszenia kultury, całe honorarium przekazał na rzecz wyremontowania tejże ubikacji, o czym poinformował czytelników „Kierunków" (nr 21). No i w ten sposób odkryliśmy nowe źródło, z którego można czerpać środki na remonty nieco wstydliwych, a przecież koniecznych pomieszczeń. Kto następny?

JOD

Odpowiedzi redakcji

Autor opowiadania „Istnienie człowieka" w Aleksandrowie Kujawskim. Nie całkiem stracone perspektywy przed Panem, aczkolwiek artystycznie jest to tekst nieudany — tj. jako pewna całość ekspresywna rządząca się określoną refleksją czy emocją. Postaci blade, papierowe. Kompozycja fabularna rozlatuje się. Znajdujemy natomiast parę wcale udanych przeświadczeń o człowieku czy literaturze — gdyby traktować je z osobna. W sumie ośmielamy się sądzić, że Pańskim przeznaczeniem jest eseistyka literacka, lecz — uwaga — dziś ten gatunek wymaga bodaj jeszcze bardziej doskonałego „laboratorium" niż sama literatura. Ciężkie zadanie przed Panem. Pozdrawiamy.

K. S. w Gliwicach. Dziwna jakaś historia. Czytamy wiersz pt. „Upadek najwyższy:

Upadłem —
wszystkimi uczuciami
wyrżnąłem o kamienie
jak uczniak
znienawidzonym podręcznikiem.

Osądzamy to jako zachęcającą zapowiedź talentu otwartego ku refleksyjnej liryce epigramatycznej. Z drugiej strony tyle w Pańskich wierszach gadulstwa, tyle — jak by powiedział Witkacy — bebechów („wytrąć mi z serca beznadziei nóż"), tyle wreszcie „piękności" („chmury ożrebiły się perliście")... Jak się to wszystko godzi w Pańskiej świadomości literackiej? Widać, że z Pana autor mało doświadczony. A na to jedna rada — pisać i czytać dużo.

S. A w Lublinie. Rymuje się Panu z częstochowska: młodością, jednością, miłością, dziecinnością. Wszystkie te wiersze są może nie tyle „prymitywne" (jak Pan to określa), ile po prostu naiwne. Czy tak dalej pisać? Zależy na co Pan liczy — jeśli na publikację, to nie warto. Jeśli na jakieś własne wewnętrzne satysfakcje — decyzję pozostawiamy do osobistego uznania.

M. J. w Zakrzówku. W jednym z Twoich wierszy bohaterka powiada: „tylko ja tak mało wiem o życiu". No cóż, można to zadedykować i Twojej postawie ujawnionej w wierszach. Wniosek prosty — trzeba jeszcze trochę pożyć, doświadczyć czegoś więcej niż pierwszej pensjonarskiej miłości. Jeśli wówczas nie minie ochota do pisania, chętnie wejrzymy w nowe teksty. Na razie niewiele konkretnego możemy powiedzieć w materii rozpoznania Twoich uzdolnień literackich. Za stałą lekturę „Kameny" serdecznie dziękujemy.

„Natalia" z Chełma. Bardzo często bywa tak, że ludzie wrażliwi na barwę życia — zarówno tę ciemną jak i jasną — nie potrafią swej wrażliwości zakląć w adekwatne słowo poetyckie. Od najgłębszego nawet przeżywania świata do umiejętności znalezienia słownego wyrazu dla własnych doznań wiedzie bowiem droga daleka. Ba, znamy nawet takich, którzy twierdzą, że słowa zatrzymując przeżycie, spłycają je i wulgaryzują. Prawdziwy dramat ludzkiego istnienia rozgrywa się w całkowitym milczeniu. Sądzimy, że warto te kwestie rozważyć w Pani wypadku. Pozdrawiamy serdecznie i życzymy pomyślnych rezultatów w uprawianym zawodzie.

Z. S. w Lublinie. Żadna uroczystość — nawet tak szlachetna jak 1 Maja — sama w sobie nie może stanowić okazji do pisania wierszy. A w każdym razie nie powinna stanowić. Inaczej powstają teksty wprawdzie w intencjach szlachetne, lecz ostatecznie banalne i patetyczne. Patos zaś — jak mawiał mistrz Ildefons — bywa „szczerozłoty" i ... ten inny.